

**TO  
BĘDZIE  
NASZA  
TAJEMNICA**

**Namiętność. Kontrowersja. Zbrodnia.**

**Karolina  
Wójciak**

**TO  
BĘDZIE  
NĄSZA  
TAJEMNICA**

**Karolina  
Wójciak**

Korekta: Katarzyna Wróbel  
Projekt okładki: Karolina Wójciak  
Łamanie i skład: Anna Teodorczyk-Twardowska  
Copyright © Karolina Wójciak  
Vancouver, 31.03.2020  
Wszelkie prawa zastrzeżone.  
All rights reserved.  
ISBN: 978-83-948013-6-6  
[www.karolinawojciak.com](http://www.karolinawojciak.com)



Droga przyjaciółko!

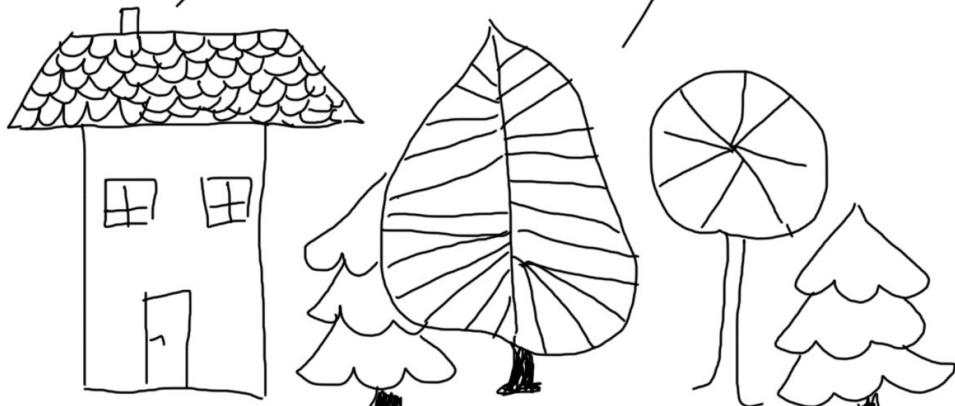
Dziękuję z całego serca za ostatni tego  
cbooka, tej kuzynowej kszipiki.

Radość mi byłaby przetrwać premierę,  
by chociaż z kszipiką jak najdalej  
od Kownawinuse. Postanowiłam

stać tu coś, ale to dzięki  
Wam ta kszipika może zostać.

Proszę spełnić moje marzenia,  
co co będą Wam dostępne  
wtedy! Mam nadzieję, że ta  
kszipika odwróci Was od wiadomości,  
i choć na chwilę pozwoli zapomnieć  
o kryzysie!

Keciline Ujula



Kownawina 2020, kiedy kiedy został u domu by  
Walenty z umorem i ugotował kszipiki!

*Kobietom i matkom, które niejednokrotnie przerasta trud  
życia codziennego i którym zdarza się kwestionować swoje wybory.  
Jesteście fantastyczne i wyjątkowe. Nie oceniajcie więc  
siebie krytycznie – zrobi to za Was koleżanka!*

## PROLOG

Stanął przed drzwiami, wahając się, czy powinien wejść. Kochał ją jednak na tyle mocno, by zaryzykować, żeby najpierw w jego głowie pojawił się jej obraz – dopiero potem myślałby o własnym bezpieczeństwie. Przyłożył więc ucho do drzwi. Nic. Cisza. Drżącą dłonią nacisnął klamkę. Chciał, żeby drzwi stały zamknięte. Wyobrażał sobie, jak go zatrzymują, a on musi odejść. Stało się jednak inaczej, niż tego pragnął. Ustąpiły mu pod naciskiem, zapraszając go do środka. Bezdźwięcznie uchylił drewniane drzwi. Słyszał tylko łomot własnego serca i świst własnego oddechu. Myślał nad tym, by kogoś zawołać, krzyknąć zwykle „dzień dobry” albo „halo”, jednak głos ugrzązł mu w gardle. Podświadomie wiedział, że od tej chwili jego świat się zmieni i nie będzie już od tego odwrotu.

Z każdym krokiem jego serce przyspieszało. Mógł przysiąc, że słyszał, ba... nawet czuł skurcz tego niewielkiego mięśnia w klatce piersiowej, który teraz próbował ją rozsadzić od środka. Bał się. Jak nigdy walczył o każdy krok. Zmuszał swoje ciało, by przesuwać je naprzód. Z trudem doszedł do korytarza. Drzwi jednej z sypialni stały uchylone, a niewielkie światło wypełzało na stare deski, przecinając korytarz wąskim paskiem na dwie części pozostające w mroku. Kiedy liznęło jego stopy, zatrzymał się ponownie. Wyciągnął drżącą dłoń. Opuszkami palców dotknął zimnych drzwi i popchnął je, zaglądając jednocześnie do środka. Nagle świat się zatrzymał. Zatrzymało się też jego serce. Zobaczył krew. Na łóżku, na podłodze, nawet na ścianach. To czerwień najpierw skupiła jego uwagę, a może z wyboru wołał nie patrzeć na ciało? Może uciekał od trupa wzrokiem, by ten widok nie pozostał mu przed oczami do końca życia.

Powtarzał sobie w myślach, że to nie osoba, nie człowiek. Tylko ciało. Coś, co pozostało po człowieku. A mimo to bał się. Przecież nic już nie mogło się stać... Nie znalazł w sobie jednak siły, by podejść. Chyba nawet nie potrzebował patrzeć. Teraz, mając potwierdzenie, musiał znaleźć wyjście z tej podbramkowej sytuacji, musiał myśleć o swojej przyszłości. O tym, jakie byłyby konsekwencje, gdyby policja tu weszła, gdyby go zastali nad tak zmasakrowanym ciałem. Przypomniał sobie, że palcami dotknął drzwi sypialni, a także klamki drzwi wejściowych. Pomyślał o śladach butów na podłodze, o tym, co będzie musiał spalić, gdy już stąd wyjdzie.

Nie, to morderstwo nie spadnie na mnie – pomyślał, a potem, w tym pustym domu, w domu, w którym nikogo nie powinno już być, usłyszał hałas. Cichy, ale wystarczająco głośny, by zjeżyły mu się włosy na całym ciele. Przerazenie odebrało mu zdolność myślenia. Chciał uciekać. Rzucić się biegiem przez dom, wypaść na ulicę. Cokolwiek, byleby skupić na sobie uwagę. Odwrócił się jednak. Powoli. Zobaczył postać i zrozumiał, że ucieczka nic nie da. Było już za późno.

## ADRIANNA

Gdy mój budzik zadzwonił o piątej trzydzieści, miałam ochotę kogoś zabić. Mordować z premedytacją i patrzeć, jak ta osoba cierpi. Odczułabym wtedy jakąś dziwną satysfakcję z tego, że nie tylko mnie jest źle i nie tylko ja czuję ten wszechogarniający ból. Wyrzucałam sobie, że przecież miałam już nie kłaść się późno, nie zarywać nocy, by potem nie wstawać z łóżka jak z krzyża zdjęta. Złość mi jednak nic nie daje, nie pomaga z radzeniem sobie w życiu, nie zmienia nic. Ale nie umiem jej nie czuć, bo tak właśnie wygląda moje życie, które potoczyło się nie do końca tak, jak to sobie zakładałam. Nie, żeby narzekała... Po prostu wstając zła, wyrzucam to z siebie, żeby jakoś przetrwać dzień. Czemu nie jestem zadowolona z życia? Nie jest to łatwe do zdefiniowania, jednak czworo dzieci, mąż, dom i praca – chyba wystarczy to jako wyjaśnienie. Wyszukanie ich wszystkich i siebie samej zajmuje mi prawie zawsze półtorej godziny. Nikt nie zrobi tego za mnie, nikt nie powie „połóż się, odeśpij, ja to zrobię”. Nikt nie uśmiechnie się do mnie, mówiąc, że praca, którą wykonuję, jest ponad siły, a ja zasługuję na odpoczynek w ciszy, spokoju i bez myślenia o tym, czego któreś z moich dzieci może potrzebować. Nikt tego nie zauważa. Funkcjonuję niezawodnie od wielu lat jak odkurzacz Zelmer czy lodówka Amica, tyle że ja nie mam marki ani części mechanicznych, które można wymienić, jak coś się popsuje. Jestem kobietą w średnim wieku – wypaloną i zmęczoną latami pracy, która potrzebuje chwili wytchnienia. To właśnie ten brak odpoczynku wywołuje we mnie złość i frustrację. Nie mam jednak wyboru i muszę pracować, bo to jeden z elementów prowadzenia domu i dbania o rodzinę, więc koło się zamyka. Poza przeklinaniem w ciszy jak szewc, poza wściekłością, która mnie zalewa, nie czuję nic innego. Budzę się martwa w środku, pozbawiona radości. Myślę tylko o tym, by dotrwać do końca dnia po to, żeby następnego ranka koło się zamknęło.

Jak co rano włożyłam więc kapcie, które dobrych kilka lat temu przygniotłam na piętach, i poszłam do kuchni. Zanim jednak cokolwiek zrobiłam, cofnęłam się do łazienki po szlafrok. Zerknęłam na termostat w korytarzu. Puknęłam go kilka razy, zauważając wyjątkowo niską temperaturę. Czasami mój mąż wstawał w nocy, by w tajemnicy przede mną ściągnąć kilka stopni w dół. Wszystko po to, żeby rachunek był niższy. Przeklinałam go za to, bo nikt nie lubi wstawać w zimnym, nie – lodowatym domu, gdzie podłoga przejmuje chłodem, a stawianie na niej gołej stopy stanowi ryzyko przymarznięcia do kafelków.

Cały dom jest cichy. Wszyscy jeszcze śpią, tylko ja jestem na nogach, tylko ja pamiętam o tym, kto i o której wstaje. Kogo obudzić jako pierwszego, komu dać więcej czasu na sen. Już nie pamiętam, kiedy ostatni raz dzieci wstały przede mną. Kiedy wbiegły do sypialni, skacząc po łóżku i ciesząc się na mój widok. Kiedy budziły mnie, nie mogąc doczekać się wspólnie spędzonego dnia. Część mnie tęskni za tym, bo to był jakiś dowód na ich miłość do mnie, a część mnie cieszy się, że mam spokój. Ta niezależność dzieci jest zdradliwa, bo z jednej strony daje poczucie wolności, a z drugiej przygnębia, uświadamiając, że nie jesteśmy im już potrzebni.

Zawinięta szczelnie szlafrokiem wstawiłam wodę na kawę – bez tego czarnego, najtańszego sikacza nie dam rady funkcjonować. Wsypałam do szklanki dwie łyżeczki zmielonej mieszanki najtańszych ziaren, a potem popatrzyłam na nią i dosypałam jeszcze jedną. Tak, żeby mnie dobrze trzepnęła ta czarna maź. Potem, szurając nogami, ruszyłam z



powrotem na górę, do pokoi dzieci. Do pierwszego weszłam, wcześniej pukając. Zamieszkiwali go mój najstarszy i średni syn. Różnica wieku niby nie aż tak duża, bo sześć lat, ale ze względu na to, że dom ma ograniczoną liczbę pokoi, musieli dzielić tych niewielkich kilkanaście metrów. Rzecz jasna jest to powodem ciągłych awantur, bo Kajtek – najstarszy, najchętniej zmieniałby się w lowelasa, który sprowadzałby dziewczyny do domu w wiadomych celach. Średni syn, moje trzecie dziecko z kolei, przechodzi obecnie etap buntu, który polega na tym, że sprzeciwia się wszystkiemu dla zasady, bo może. Albo po to, by tylko zrobić mi na złość i wyprowadzić mnie z równowagi. Trudno mi teraz do niego dotrzeć, więc obchodzę się z nim jak z jajkiem. Wolę go nie drażnić, bo gdy tylko wybuchnie, muszę stawić czoła wyzwaniu i dźwignąć ciężar rodzicielstwa, który polega na sprzeciwianiu mu się po to, żeby miał kręgosłup moralny, lub tłumaczeniu mu, co zrobił źle, by nic tego kręgosłupa nie zgięło. To nie tak, że on nie wie, co ma zrobić, czego od niego oczekuję. Nie robi tego chyba tylko dlatego, by wejść ze mną w konflikt... By zagotować mnie z samego rana. Gdy panuje cisza, wmawiam sobie, że jest świetnie, a on rozumie wszystko bez zbędnego tłumaczenia. Pewnie oszukuję sama siebie, ale na litość boską, ile można? Po tylu latach codziennie rano pytam: umyłeś zęby, uczesałeś się, zmieniłeś skarpety? No ile można?

– Kajetan – trąciłam najpierw starszego – wstawaj.

Odwrócił się do mnie, a ja od razu dostrzegłam jego erekcję. Zaciśnęłam usta, udając, że wcale tego nie widzę. On z kolei obudził się na tyle, by poczuć, jak jego młode ciało perfidnie go zdradziło. Nakrył się kołdrą, warcząc na mnie, że bym odeszła.

– Maciej – zawołałam młodszego, podchodząc do niego.

Tego dziecka nawet nie dotykam i uprzedzam głosem, zanim podejść bliżej, bo wiem, że z nim jest jak z dzikim mustangiem. Zrobię coś pochopnie i dostanę kopa. Dziś wyjątkowo nie mam siły, by walczyć z nim o cokolwiek.

– Nie idę dziś do szkoły – zamruczał w poduszkę.

– Idziesz – powiedziałam stanowczo, nawet nie pytając o powód, dla którego nie chce iść, i ściągnęłam z niego kołdrę.

– Jak możesz?! – krzyknął, wstając na równe nogi. – To nieludzkie. Jest tak zimno! Kurwa! Jak tu zimno! – Objął się ramionami.

W jego spojrzeniu nadal dostrzegałam tego słodkiego chłopczyka, który zasłaniał sobie dłońmi oczy i pytał, czy go widzę. Kiedyś wydawało mu się, że to, co widzi on, widzę też ja, więc jeśli on nic nie widzi, ja tak samo mam zasłonięte oczy. Śmiałam się wtedy z tego, jak dziecinnie rozumiał świat. Teraz tylko w jego spojrzeniu dostrzegałam dziecko. Wszystko inne odeszło w zapomnienie.

– Uważaj na słowa! – rzuciłam, marszcząc czoło, by wiedział, że nie wyrażam zgody na takie odzywki. Zaczerpnął powietrza, by się ze mną kłócić, więc szybko dodałam: – Nie będziesz kłął w moim domu!

– Stary tym razem przesadził – warknął z tyłu Kajetan, który siedział na łóżku z kołdrą na kolanach. Czekał, aż natura da mu spokój i pozwoli pójść, już bez wzwodu, do łazienki.

– To nie stary, tylko twój ojciec – poprawiłam go od razu. – Wyrażaj się o nim z szacunkiem.

– Ale to nieludzkie! – upomniał się Kajtek.

– Idę do dziewczyn – oznajmiłam im obojętnie, choć mnie samą przejmowało zimno i też uważałam, że to nieludzkie tak wychłodzić dom. – Szykujcie się do szkoły. Obaj! –

dodałam, tym razem patrząc na Maćka, by wiedział, że nie żartuję. – Jeśli będzie trzeba, wyciągnę cię z domu siłą!

Kajtek kończy właśnie ostatnią klasę technikum. Ma dziewiętnaście lat i wygląda jak marzenie każdej dziewczyny. Już jako czternastolatek zaczął ćwiczyć, zresztą jego zawsze interesowały sporty walki. To taki typ dzieciaka, który gdyby mógł, nocowałby na dworze, biegałby za piłką, ścigał się na rowerze z każdym, kto tylko miałby dwuślad, skakał po drzewach zwinnie jak zwierzę. Energii mu starczało na całą masę aktywności. Oczywiście do momentu, aż nie pojawiły się dziewczyny. Teraz inaczej spędzał czas: układał włosy na żel, dobierał ubrania, pracował nad muskulaturą, a nawet uważał na to, co mówi. Patrząc na niego, czułam żal, że moje małe dziecko już nie było małe. Zmieniał się w mężczyznę i zaraz pewnie wyjdzie z domu, a życie z nim pod jednym dachem stanie się jedynie wspomnieniem. Nie uważałam, by był już gotowy na niezależne życie, ale nie przekonam się o tym, dopóki nie pozwolę mu spróbować. Chciał iść na studia gdzieś daleko, by już z nami dłużej nie mieszkać. Oznaczało to wyższe opłaty, ale jeśli tak chciał, nie mogłam stawać mu na drodze. Trochę martwiło mnie, dlaczego tak bardzo mu zależało, by zniknąć z naszego pola widzenia, ale za każdym razem gdy poruszałam ten temat, twierdził, że chce się nauczyć życia w każdym jego aspekcie i dopóki będzie mieszkał ze mną jak w hotelu, nie dowie się, jak to jest naprawdę być zdany tylko na siebie. Podobało mi się to tłumaczenie, stać nas było na opłaty, więc się zgodziłam. Jedyne, co zrobiłam, to postawiłam mu warunek: miał choć trochę pieniędzy zarobić sam – przynajmniej na te pierwsze miesiące, zanim zaczną się wykłady i będzie musiał się poświęcić nauce. Miał więc przed sobą końcówkę roku i wakacje, które – jak rozumiałam – spędzi na sumiennej pracy, czy to trenując innych w dowolnej dziedzinie sportu, czy też ucząc ich matematyki, co robił od dawna. Dzieciaki go lubiły, a dziewczynki molestowały rodziców o korepetycje u Kajtka, bo wystarczyło im, by przebywały z nim w jednym pokoju. Nauka się nie liczyła. Tylko on.

Maciek z kolei zupełnie nie przypominał Kajtka. Dojrzewał wolniej niż brat, więc nadal jego ciało, mimo trzynastu lat, wyglądało jak u małego chłopca. Chudziutki, drobny, z powoli zasypującymi mu twarz pryszczami. Nadal wyglądał niewinnie, ale charakter miał bardzo trudny. Co ja z tym dzieckiem miałam? Wszedł w etap, w którym dbanie o siebie wcale nie stanowiło konieczności – rzecz jasna według niego. Mógł się nie myć kilka dni, szedł w tych samych ubraniach do szkoły, mimo że miały na sobie plamy i wyglądały, jakby psu z budy je wyciągnął, a nie z szafy. Co wieczór zakradałam się do ich pokoju, by zabrać Maćka ubrania z podłogi i wsadzić je do pralki. Jeśli włożyłabym je do brudownika, wyciągnąłby je z kosza i włożył na siebie. Gdy były mokre, odpuszczał. Nie, określenie go brudasem byłoby wielce niewłaściwe. To taki okres, w którym młodzież boi się wody. Kajtek też przez to przechodził, ale jemu to jakoś szybko minęło. Pewnie dlatego, że dużo trenował i jakby się nie mył, śmierdziałby niemiłosiernie. A może ja miałam wcześniej więcej cierpliwości, a teraz właśnie z powodu jej braku tak łatwo wyprowadzić mnie z równowagi?

Do dziewczynek weszłam bez pukania. Klaudia już nie spała, siedziała przy biurku, nakładając sobie makijaż. Odwróciła się na chwilę do mnie, co sprawiło jej długie, proste blond włosy w ruch. Kiedy na nią patrzyłam, przypominały mi się lata mojej młodości. Tak bardzo była do mnie podobna, zarówno w ruchach, jak i w wyglądzie. Naturalne blond włosy, piękne niebieskie oczy, pełne usta i mały nos.

Szybko wróciła do poprzedniej pozycji, patrząc w swoje odbicie i podziwiając samą siebie.

– Co tak wcześnie wstałaś? – zapytałam.

– Dziś nie jem śniadania – powiedziała moja siedemnastoletnia córka, patrząc na swoje odbicie.

– Jak to? – Stałam obok niej i zerknęłam na twarz, na cienie tak ciemne, jakby szła na wieczorne wyjście, a nie do szkoły. – Ten makijaż jest zbyt mocny.

– Zetrze mi się do czasu szkoły – rzuciła pewnie, nawet na mnie nie patrząc, a biorąc pod uwagę ceny i marki produktów, których użyła, nawet karcherem bym tego z niej nie zmyła.

– Nie podoba mi się to, jak...

– Mamo, zrobiłabyś mi do szkoły sałatkę owocową? – Nie dała mi nawet dokończyć.

– Nie przerywaj mi, jak mówię – skarciłam ją od razu. – Czemu nie chcesz śniadania?

– Bo jest trening rano...

– Jaki trening?

– Chłopaki grają w piłkę – przyznała, przesuwając pędzelkiem po powiece.

– Kajtka grupa? – Przyglądałam się jej uważnie, bo nigdy nie zwracała uwagi na starszego brata, a ostatnio coraz częściej widywałam ich razem. Rzecz jasna cieszyło mnie to, bo dzięki temu mogli się nawzajem pilnować, ale widziałam w tym ukryty powód.

– I tak, i nie. – Przewróciła oczami poirytowana, co z kolei zdenerwowało mnie.

– Nie możesz odpowiedzieć na pytanie, wyjaśniając zagadnienie, tylko rzucasz takie bez wyrazu „i tak, i nie”.

– Niektórzy ode mnie z liceum chodzą na te same zajęcia. Czego nie rozumiesz?

To pytanie przypominało głaskanie kota pod włos. Niby odpowiedziała na nie, ale zrobiła to tak, żeby mnie wkurzyć. Słyszałam irytację w jej głosie, więc wiedziałam, jak niewiele dzieliło nas od potyczki słownej. Jeślibym ją przycisnęła, zamknęłaby się na amen. Wzięłam więc głęboki oddech. Mogłam włączyć tryb matki albo przyjaciółki. Jeśli zacznę ją teraz krytkować po rodzicielsku, niczego się nie dowiem. Nauczyłam się już, że wszystkie moje dzieci zacinają się, gdy tylko słyszą „kazanie”. Wtedy więc przyjmuję rolę koleżanki, która chce tylko posłuchać, bez oceniania czy pouczania. Na krytykę będzie jeszcze czas – jak wyciągnę z niej wszystko to, na czym mi zależy.

– Zrozumiałabym, gdybyś mi od razu powiedziała, o co chodzi. – Usiadłam na łóżku za jej plecami, ale ona nie kwapiła się do zabrania głosu. Nadal w ciszy i skupieniu nakładała kolejne warstwy makijażu. – I będziesz patrzeć, jak Kajtek gra? Stać na Bóg wie jakim zimnie, chyba nawet poniżej zera jest... tylko po to, żeby kibicować bratu? – dodałam, wiedząc, jak niedorzecznie to brzmi.

– Dobrze ci idzie – zaśmiała się. – Udajesz, że nie wiesz, o co chodzi.

– Kto to jest? – zapytałam wprost. – Albo kto tam będzie, dla kogo warto wystawić tyłek na mróz, bo to na pewno nie jest Kajetan?

Klaudia zerknęła na śpiącą jeszcze Laurę, a potem, upewniwszy się, że ta rozmowa pozostanie między nami, ścisząc głos, wyznała:

– To Kosma.

– Kosma? – powtórzyłam za nią, krzywiąc się na dźwięk jego imienia. – Przecież on taki niezdarny jest i... niski. – Zmarszczyłam czoło, zupełnie nie rozumiejąc gustu córki.

Do niej pasował ktoś dużo lepszej klasy. Nie miałam nic przeciwko Kosmie, ale nie wyobrażałam sobie ich razem. To tak, jakby konia lekkiej wagi zaprzęgnąć do pługa z nadzieją na dobry finał. Tego się po prostu nie robi. Jedno nie idzie w parze z drugim. Zawiodła mnie swoim wyborem, ale uznałam, że nie będę się wtrącać. Jeśli jej się podoba ktoś taki jak on, nie powinnam ingerować w jej pierwsze miłości. Znając życie, sama się przekona, że to nie chłopak dla niej, i sięgnie po kogoś lepszego.

– Kiedy ty go widziałaś po raz ostatni?

– Kiedy? – powtórzyłam za nią. – Chyba jak... – Urwałam, starając się wydobyć z pamięci obraz kolegi z klasy Kajtka.

Kiedys często do nas przychodził, ale potem jego rodzice się rozwiedli. Matka nie radziła sobie z życiem samotnej kobiety i przeprowadziła się z powrotem do domu rodzinnego. Kosma dojeżdżał więc do szkoły autobusem, a nasz dom był mu zupełnie nie po drodze, więc drogi chłopaków szybko się rozeszły. Kiedys sporo rozmawiałam z jego matką, umawialiśmy się na wyjścia, ale wraz z końcem jej małżeństwa zakończyła się też nasza przyjaźń. Chciałabym powiedzieć, że to nie dlatego, że się rozwiodła, ale prawda była inna. Nie mogłam słuchać jej wiecznego narzekania. Miałam zbyt dużo własnych problemów, żeby analizować jej nieudane małżeństwo. Nie potrafiła oderwać się od tej porażki i tkwiła w tym po uszy, ciągnąc w dół wszystkich wokół. Potem, kiedy dzwoniła, wymigiwałam się pracą i domem. Aż któregoś dnia po prostu przestała. Gdyby zrozumiała, że nikt nie chce przebywać z kimś negatywnym, kimś, kto wiecznie jęczy, kto wiecznie szuka pocieszenia i słów typu: „nie, nie jesteś brzydka”, „nie, świetna z ciebie matka i żona”, „nie, nie bądź wobec siebie taka krytyczna”, „nie, to nie twoja wina”, nasza przyjaźń być może przetrwałaby do dziś, a tak uciekłam od niej, bo najzwyczajniej w świecie brakowało mi w jej towarzystwie powietrza. Od tego są psychiatrzy, którym się płaci za słuchanie i gadanie tych samych zdań w kółko, by potem własnym przyjaciółom oszczędzić tego pesymizmu.

– Nawet nie możesz sobie przypomnieć kiedy – wyrzuciła mi od razu, sądząc, że tak intensywnie nad tym myślałam. – On teraz jest taki... – Spojrzała w górę, rozczulając się nad nim jak nad wyidealizowanym aktorem.

Uśmiechnęłam się pod nosem, widząc w niej takie zauroczenie. Gdzieś w środku zazdrościłam jej tej młodości, tego wchodzenia w dorosłe życie. Przeżywania tych wszystkich pierwszych razy. Tej magii związanej z odkrywaniem świata. Odkrywania związków, miłości i cieszenia się tym bez zahamowań. Zazdrościłam też braku kłopotów, zmartwień i chyba przede wszystkim braku odpowiedzialności. Była w stu procentach wolna. Mogła robić, co chciała i – co najważniejsze – wszystko stanowiło dla niej przygodę. Zdałam sobie też sprawę, jak wiele w niej było entuzjazmu. Tej radości i pozytywnego myślenia, których brakowało matce Kosmy. Jeśli to zauważałam, czy oznaczało to, że ja też stałam się zgorzkniała i negatywna? Czy narzekanie stało się częścią mnie i przestałam już na to zwracać uwagę? Czy męczyłam swoją osobą innych tak, jak kiedyś robiła to matka Kosmy? Potrząsnęłam jednak głową, wyrzucając z niej analityczne myśli. Trzeba wrócić do rzeczywistości – powtarzałam sobie w myślach. Do domu, dzieci i obowiązków.

– Zrobię ci jedną kanapkę więcej, to zjesz, jak będziesz oglądała mecz. – Wstałam, podchodząc do łóżka Laury.

– No coś ty! Jak ja mogę jeść, jak oni grają? Wezmą mnie za grubasa.

– Ważysz tyle, że gdybyś stanęła pod wiatr, toby cię podmuch popchnął trzy ulice dalej.

– Bardzo śmieszne – skomentowała nieporuszona i zaczęła przekręcać głowę na boki, by obejrzeć wykonanie makijażu. – Muszę uważać na dietę i to, co jem w towarzystwie. Nie mogę wyciągnąć buły i opychać się nią jak chłopka w polu.

– Chłopka? – powtórzyłam za nią.

– Nawet nie wiesz, jaki to obciach. Nikt nie chce strzelić sobie towarzyskiego gola. Nie kiedy tyle się dzieje.

– A co się dzieje? – wróciłam do niej zaciekawiona.

Moje dzieci gdzieś na etapie dziesiątego roku życia przestały dzielić się wrażeniami ze szkoły. Ciągnęłam je za język, ale tylko Klaudia chętnie wyrzucała z siebie szkolne dramaty. Potem, kiedy podrosła, ona najbardziej się przede mną kryła. Moment, w którym zauważyła chłopców, kiedy zaczęli mieć dla niej znaczenie, zmienił bardzo dużo w naszej relacji. Wydawało mi się kiedyś, że nastoletnie lata to okres, w którym matka z córką są najbliżej. Nie u nas. U nas Klaudia wolała dzielić się sekretami z koleżankami, a mnie obdarowywała drobnostkami bez znaczenia, rzucała mi je jak psu ochłap.

– Nic, o Jezu... po prostu w szkole... czy ty musisz się tak o wszystko dopytywać? Czy ja chodzę za tobą i ciągle pytam, co robisz, gdzie idziesz?

– Nie, ale ja jestem już dorosła i nie trzeba mnie kontrolować. Ja wiem, co w życiu jest ważne, a co nie. Co mi przystoi, a co nie. Ciebie kontroluję, ale robię to tylko i wyłącznie dla twojego dobra.

– Tak, wiem – prychnęła.

– Ja się po prostu o was boję. – Położyłam jej dłoń na ramieniu, by ten gest potwierdzał moje słowa. – Boję się, że przez te twoje tajemnice, przez to, że nie dzielisz się ze mną tym, co dzieje w twoim życiu, możesz popełnić jakiś głupi błąd.

– Ty to zawsze widzisz nas w czarnych scenariuszach – mówiła do lustra, ale patrzyła na mnie. – Kajt wpada w złe towarzystwo, młody zarasta brudem i wiecie życie jaskiniowca, ja się puszczam i wracam z brzuchem. Tylko nie wiem, co z Laurą. Co ona zrobi? – Odwróciła się, by na mnie spojrzeć. Jej rozbawiona mina jasno wskazywała, że puszczała moje przestrogi mimo uszu z ironią, zamiast brać je sobie do serca.

– Wiesz, z czego to wynika? Z tego, że się o was martwię, a ty nie rozumiesz, jak jedno pochope działanie, jeden wybór, jedno szaleństwo...

– Tak, tak... już to słyszałam. – Wstała od biurka i podeszła do szafy. – Nie pozwalasz mi zapomnieć o kluczowych punktach twoich kazań. Jakbyś mogła, tobyś mi je wyryła na czole, żebym je czytała, patrząc w lusterko.

– Na tym polega mój problem – zauważyłam, mówiąc na głos. – Ja wam na za dużo pozwalałam. W innych rodzinach za takie zwracanie się do matki dostałabyś w gębę. Bez wyjaśnienia, a ja... nigdy tego nie robiłam. Nie uznawałam takich rozwiązań. Zawsze tłumaczyłam, powtarzałam, co wam wolno, a czego nie. Staralam się was traktować jak dorosłych. Chyba niepotrzebnie tak się wykrwawiałam, a powinnam częściej wyciągać pasek, żeby za pomocą świszczącej w powietrzu skóry pokazać wam, co to znaczy wychowanie. Powiedz, jak to jest, że tyle wam dałam, tyle dla was robię, a to nadal za mało, by mnie szanować? Nadal za mało, żeby chociaż mnie posłuchać, by przytaknąć i w milczeniu przemyśleć moje rady.

Klaudia, albo faktycznie zbyt zajęta dobieraniem ubrań, albo z wyboru, ogłuchła i udawała, że nie ma mnie w pokoju. Liczyłam jednak na to, że ten brak odzewu oznaczał skruchę i zrozumienie. Usiadłam na łóżku obok Laury.

– Laurka – zawołałam ją – masz jeszcze kwadrans, okej?

Skinęła głową, a potem od razu zasnęła. Odwróciłam się ponownie, by zerknąć na moją drugą córkę. Wkładała właśnie rajstopy z błogim wyrazem twarzy. Jednak pomyliłam się. Zlekceważyła moje słowa.

– Słyszałaś, co ci powiedziałam?

– Tak, że mam cię szanować. – Jednak ton jej głosu mówił coś zupełnie innego.

– Wiesz, że każda inna matka kazałaby wam zasuwać z buta do szkoły.

– Oj, już nie rób z siebie bohaterki. Wozisz nas, bo masz Laurę i Maćka. Jakbym była tylko ja i Kajtek, byłoby inaczej. Masz młodsze dzieci i dlatego robisz rundki, więc nie dorabiaj teorii, jak to się poświęcasz dla mnie i Kajtka, tylko po to, żeby grać mi na uczuciach i wzbudzić we mnie poczucie winy. Jeśli nie chcesz mnie wozić, spoko, zrozumiem. Załatwię to sobie inaczej. Pokombinuję.

– Czy mnie się wydaje, czy ani razu nie użyłaś słowa „mamo”?

– Tak, mamo, nie użyłam. Wiesz, mamo, będę od teraz używać. Dobrze, że mi przypomniałaś... mamo.

Westchnęłam ciężko. To tylko hormony – powtarzałam sobie w myślach. Kiedyś zrozumie i doceni mój trud, choć pewnie nie powinnam na to liczyć.

Wróciłam do kuchni, zrobiłam sobie kawę tak mocną, że z każdym kolejnym łykiem czułam, jak cierpnie mi język. Dzisiaj chyba przesadziłam. Chciałam dolać sobie mleka, ale karton stojący w lodówce był pusty. Ktoś wypił mleko i odstawił na półkę puste opakowanie. Cisnęłam nim w pojemnik na papier, klnąc przy tym, ile wlezie. I pomyśleć, że dwadzieścia lat temu przysięgałam, jaką to zostanę fantastyczną żoną i matką. Pod przykrywką magicznego słowa „małżeństwo” dostałam wyrok służącej na długie lata. Coś, o czym mi nikt nie powiedział w dniu ślubu. Każdy mi gratulował, życzył uśmiechu. Zapomnieli dodać, że razem z obrączką w pakiecie idzie też orka – i to jeszcze w pojedynkę. Irytowało mnie, w jak niewielkim stopniu pomagał mi mąż. Jak płynnie przeszedł w rolę zapewniającego utrzymanie, a umył ręce od wychowywania dzieci i konieczności odpowiadania na ich pytania czy odżywki. Nigdy nie miałam w nim wsparcia w kwestii opieki nad dziećmi – ani za czasów niemowlęcych, ani dziecięcych, ani tym bardziej nastoletnich. Byłam z tym sama. Czasami wydawało mi się nawet, że mu nie zależało. W ogóle. Ani na mnie, ani na dzieciach, ale nie miał odwagi ani siły, by cokolwiek z tym zrobić. Tak, jakby wszedł w to bagno za głęboko, wiedział, że gdyby chciał się ruszyć, wciągnie go doszczętnie, więc stanął w miejscu i tak sobie tkwił.

– Dzień dobry – usłyszałam go zza pleców. Podeszedł jak zwykle i pocałował mnie w policzek. Robił tak od dwudziestu lat. Coś, co z jednej strony oznaczało jego oddanie, a z drugiej było takie beznamienne. – Co dziś na śniadanie?

– Przepiórcze jaja, omlety, gofry i bita śmietana – powiedziałam poważnie.

– Serio? – Przyglądał mi się z głupim uśmiechem na twarzy. – Kiedy ty to zrobiłaś?

– We śnie! – rzuciłam, odwracając się do blatu.

Wyciągnęłam bochenek chleba i zaczęłam smarować kromki masłem. Mój mąż najpierw postął chwilę otumaniony, ale szybko zrozumiał, że moja odpowiedź była jedynie

kąśliwym komentarzem do jego durnego pytania. Odszedł, otworzył lodówkę i stał przed nią tak, jakby chciał się przy niej schłodzić. Potem, gdy w końcu chłopaki raczyli zejść na dół, to samo zrobił Kajtek, a na końcu Maciek. Gołym okiem widać było, że wszyscy trzej to ten sam typ faceta. Myślenie mieli takie samo. Czasami nawet współczułam dziewczynom, które wezmą sobie za męża jednego z moich synów. Jediną nadzieją mogło być to, że z czasem się zmienią lub pokochają kogoś tak mocno, by zauważać potrzeby tej drugiej osoby i stawiać na pierwszym miejscu ją, a nie siebie samego.

– Co jemy? – zapytał najstarszy.

– To, co zawsze – odpowiedziałam bez emocji. – Jakim cudem pytasz się o menu, skoro wiesz, że z rana nie mam czasu na nic? Uwijam się jak w ukropie, żeby zdążyć z wszystkim na czas.

– To ja pas – rzucił Kajtek i skierował się do wyjścia. – Zabierzesz mnie? – zwrócił się do męża, który po tym, jak nic nie znalazł w lodówce, napił się wody i właśnie szykował się do wyjścia.

– Poczekaj na mnie – usłyszałam także głos Klaudii schodzącej z góry. Zerknęłam na wejście do kuchni, by sprawdzić, co na siebie włożyła. Mignęła mi jedynie, pędząc do korytarza po buty, ale to wystarczyło, żeby ocenić jej strój jako nieadekwatny na wyjście do szkoły.

Skinęłam głową do męża, dając mu w ten sposób do zrozumienia, że potrzebuję jego wsparcia. On wzruszył ramionami albo udając, że nie rozumie, czego od niego oczekuję, albo wybierając ucieczkę, by koniecznością interwencji siłowej nie psuć sobie humoru przed perspektywą spędzenia całego dnia w biurze. Z prędkością wiatru dał nogę z kuchni, dołączając do dzieci w korytarzu.

– Klaudia! – krzyknęłam za nimi.

– Co jest?! – dobiegło mnie z korytarza.

– Będzie ci zimno.

– Mi, nie tobie – odpysknęła.

– Mnie, mówi się „mnie” – poprawiłam ją, stając w futrynie między kuchnią a korytarzem. – Taka panna z ciebie, a poprawnie się nie umiesz wysłowić. Chłopaki na to nie lecą jak na gołe nogi? Intelkt już zbędny?

– Musisz tak ironizować? – syknął mąż, który teraz znajdował się najbliżej mnie.

– To weź się za wychowywanie i porozmawiaj z nią. Nie widzisz, jak się ubrała? Przecież ona idzie do szkoły, a nie na wybieg.

– Krótka spódnica nikomu krzywdy nie zrobiła – uciekł od odpowiedzialności, jak zawsze.

Przez moment patrzyłam na niego i zazdrościłam mu tego luzu. Tego wzruszenia ramionami, na które pozwalał sobie w takich sytuacjach jak teraz. Mogłam się odezwać, wciągnąć go w rozmowę, zmusić Klaudię do przebrania się, ale umęczona do granic możliwości wycofałam się. Pokręciłam jedynie głową z dezaprobatą i wróciłam do kanapek. Odłożyłam kilka kromek z powrotem do torby, wiedząc, że reszta pójdzie na głodniaka.

– Nie wkładaj ich z powrotem do czystego – usłyszałam za plecami Jacka.

– Wróciłeś pogadać? – syknęłam, a potem dodałam: – Przecież nikt nie dotknął tych kromek.

– Ty dotykałaś – zwrócił mi uwagę. – To wystarczy.

Zagotowało się we mnie. Kiedy go potrzebowałam – tego krytycznego komentarza do stroju córki – był pobłażliwy. Kiedy zaś dotyczyło to mnie, nie żałował sobie. Pomyślałam, że ten nóż do masła mógł być wystarczająco ostry, by go dźgnąć. Dotknęłam palcem ostrza, oceniając jego możliwości. Pewnie zatrzymałby się na ubraniach, nawet ich nie przecinając. Ciekawe, czy sam ten ruch i zamiar wystraszyłyby go to na tyle, by spojrzeć na mnie inaczej? Czy by się mnie bał? Prosił o litość czy też rzuciłby we mnie jakimś ostrym komentarzem, wiedząc, że zrani mnie nim wystarczająco, żebym złożyła broń?

Gdyby ktokolwiek wiedział, jakie myśli rodziły się w mojej głowie, skierowałby mnie na terapię. To pewne. Tyle że ja nie potrzebowałam pomocy psychiatrycznej. Byłam po prostu zmęczona. Wypalona, niedoceniona i... chyba nawet niekochana.

– Wyrzucić? – zapytałam spokojnie.

– Nie, zrób z nimi kanapki i odłóż do lodówki. Zjem, jak wrócę z pracy, na kolację.

– Tak zrobię – potwierdziłam, wyciągając z powrotem kromki z folii. W ciszy myślałam o tym, jak ten chleb będzie smakował po całym dniu w lodówce. Wątpiłam, by faktycznie chciał to potem zjeść. Pewnie skończy się tak, że zaoferuje te kanapki mnie.

– Mamo... – Tym razem Laura stanęła za mną. Obejmowała się ramionami, przestępując z nogi na nogę na zimnych kaflach. – Gdzie są te moje niebieskie spodnie?

– Na strychu, na suszarce.

– Mamo – Maciek usiadł przy stoliku – dzisiaj idę po szkole do kolegi.

– Którego?

– Nie znasz.

– Wiesz, jakie są zasady. – Odwróciłam się do niego. – Musisz zostawić nazwisko, adres i numer telefonu.

– Napisałem to już na kartce i położyłem na twoim stoliku nocnym – powiedział niewzruszony, a mnie pojawił się szeroki uśmiech na ustach. Jednak do nich docierało. Jednak zapamiętywali, co im tłukłam do głów. Było to jakimś pocieszeniem. – Kiedy będzie śniadanie?

– Za dwie minuty. – Wróciłam do blatu z kromkami.

Nałożyłam ser, wędlinę i plastry pomidora. Podstawiłam mu talerz pod nos.

– Smacznego!

– Będę w domu na dziewiątą – zakomunikował.

– Mieliliśmy dziś jechać do fryzjera. – Dotknęłam dłonią jego długich do ucha włosów, które denerwowały mnie od dobrych dwóch miesięcy, kiedy wpadały mu na czoło, a potem do oczu. Odrzucał je na bok, ale przez ten gest cały czas trzymał głowę pochyloną w jedną stronę. Takie ciągłe skrzywienie nie mogło być dobre dla rozwoju młodego człowieka. Poza tym przez większość czasu te długie włosy były sklezione. Nie mył ich wystarczająco często, więc wyglądały jak u włoskiego, wyżelowanego lowelasa. Przecież krótkie są łatwiejsze w utrzymaniu i pielęgnacji. Nikt by nawet nie wiedział, że ich nie umył.

– Możesz nie? – Odsunął się od mojej dłoni. – Chcę zjeść w spokoju.

– Co to za zwrot „możesz nie”? To jakiś skrót? – Nie zareagował. – Myłeś zęby?

– Zaczyna się. – Wypuścił powietrze.

– A nie możesz po prostu powiedzieć „tak” lub „nie”?

– Ada... – Podszedł do mnie mąż, chwycił mnie za rękę i odciągnął do pustego już korytarza. Zarówno Klaudia, jak i Kajtek musieli czekać na niego w samochodzie.



– Co jest? – zapytałam zaskoczona jego potrzebą uciekania w ustronne miejsce.

Odwrócił się do lustra, by poprawić krawat. Od nastu lat pracował w administracji prywatnego szpitala. Pełnił funkcję managera dużej placówki, która szczyła się tytułem najlepszej w mieście. Lubił się chwalić, że to właśnie dzięki niemu osiągnęli tak dużo. Nikt temu nie przeczył, ale on sam chyba wierzył w to, jakim niezastąpionym ważniakiem stał się z chwilą, kiedy odebrał plastikową nagrodę Biznesmena Roku.

Jego włosy, lekko już siwe na skroniach, nadal pozostawały mokre. Wziął prysznic, kiedy ja zajmowałam się rodzicielstwem i piciem taniej kawy. Czemu taniej, skoro on był taką szychą? Bo twierdził, że obydwójce mamy ekspresy w pracy i dla jednej kawy na dzień nie opłaca się kupować ani dobrego ekspresu, ani tym bardziej dobrej kawy, bo przy tak rzadkim picciu jej wartość wywietrzałyby błyskawicznie. Pewnie gdyby to on ją pił rano, patrzyłby na to inaczej. Na mnie można było oszczędzać, a ja jak głupia zgadzałam się na to, wierząc, że te środki zaoszczędzone na fanaberiach pójdą na rodzinę. Ciągłe na coś trzeba byłołożyć. Prawda jednak była taka, że to ja się najbardziej poświęcałam, on natomiast niczego sobie nie odmawiał. Jak każdego ranka, mój mąż miał czas, by w spokoju wziąć prysznic, ubrać się elegancko i wyjść bez pośpiechu, jak człowiek sukcesu, podczas gdy ja robiłam wszystko w biegu.

Przeglądał się w lustrze, poprawiając garnitur, a potem schylił się, żeby włożyć buty. Wziął głęboki oddech i zaczął bardzo stanowczo:

– Czy my możemy choć jednego ranka zacząć dzień jak w filmach? Na spokojnie, bez komentarzy, bez uszczypliwości, bez kazań i z uśmiechem na ustach?

– To zacznij tak dzień. Zrób wszystko, co robię, a ja będę się uśmiechać.

– Ada – skarcił mnie imieniem, tak jakby to trzyliterowe słowo było niczym trzy chłoścnięcia batem – ja wiem, ile pracy wkładasz w rodzinę, ale czasem warto odpuścić. Nie przejmować się tak. Mamy dobre dzieci, grzeczne.

– A wiesz, czemu tak jest? – zapytałam, ale nie pozwoliłam mu odpowiedzieć. – Bo ja ich pilnuję. Kładę im do głowy, co mają robić, a czego nie. Też bym tak chciała jak ty, włożyć garniak, odstawić się, połać wodą kolońską i iść z uśmiechem do pracy.

– Też tak możesz – wypalił nieświadomy, jak wygląda moje życie.

– A śniadania? Pranie? Zakupy? Sprzątanie? Wożenie dzieci? Praca na pełny etat?

– Chciałbym po prostu, żebyś wyluzowała – zmienił temat, pocałował mnie znów w policzek i skierował się do drzwi. Stał na chwilę, jakby chciał coś jeszcze dodać, ale któreś z dzieciaków zatępiło, żeby go pospieszyć. – Będę po osiemnastej.

Żeby wiedziała, na którą michę naszykować – pomyślałam z przekąsem. Wyjrzałam przez okno, by obserwować go, jak wszedł do auta i położył teczkę na tylnym siedzeniu. Potem przypomniało mu się, że wpakował się do środka w marynarcę, więc ponownie wysiadł i zawiesił ją na specjalnym wieszaku na zagłówku. Na koniec wskoczył energicznie do środka i wycofał z podjazdu. Chciałabym powiedzieć, że patrząc na niego, przepełniała mnie miłość i pozytywne uczucia, ale powracała mi jedynie myśl, że cała ta sytuacja opisywała wyśmianie mojego męża. Pracuje od nastu lat, robi to samo każdego dnia, a mimo to zapomina o czymś tak oczywistym jak zdjęcie marynarki, zanim usiądzie za kierownicą. Jak można robić to samo tyle lat, a być takim zapominalskim i nieobecny? Przecież takie zachowania po tylu latach ma się już we krwi? Tego rodzaju czynności wykonuje się automatycznie. Chyba tylko on był takim lekkoduchem, który miał non stop pustkę w głowie. Nie przewidywał, nie analizował,

nie myślał. Zresztą wiedział, że nawet jeśli wygniecie marynarkę po jednorazowym użyciu, rzuci ją potem w kąt po przyjściu do domu, a ja będę prać i prasować.

Tak wyglądało też nasze życie. To samo przewijało się dzień za dniem, a on był zaskoczony bieżącymi wydarzeniami. Ciągłe nieprzygotowany. Ciągłe nieobecny i – jak w przypadku marynarki – reflektujący się po czasie, że coś trzeba było zrobić lub powiedzieć. Czasami odnosiłam wrażenie, że miałam pięcioro dzieci, a nie czworo, bo tyle samo czasu i wysiłku kosztował mnie Jacek, za którego nie powinnam już przecież być odpowiedzialna, co każde z pozostałej gromadki.

Wróciłam szybko do kuchni. Dokończyłam przygotowywanie drugiego śniadania dla dzieci do szkoły. Zrobiłam też kanapki dla Kajtka i Klaudii, obiecując sobie, że podrzucę je do sekretariatu w liceum, a potem napiszę im obojgu esemesa, żeby poszli do sekretarki po jedzenie. Dla Kajtka wyskoczenie na przerwie nie będzie stanowiło żadnego problemu, a mnie oszczędzi przynajmniej dziesięć minut kręcenia się między uliczkami tych położonych tak blisko siebie budynków. Mogłabym odpuścić, skoro wyszli z domu, mówiąc, że nie chcą jedzenia, ale intuicja podpowiadała mi, że jak zgłodnieją, zmienią zdanie i z chęcią pochłoną te kanapki. Zosia, sekretarka w liceum, dobrze mnie знаła, więc zrobi to dla mnie bez wahania. Ludzie bardzo lubili i szanowali naszą rodzinę, co często kończyło się dla nas specjalnym traktowaniem. Nie, nie miałam oporów, by sięgać po pomoc, bo w sześcioosobowej rodzinie zasuwałam non stop. Korzystałam więc z przywilejów i specjalnego traktowania, ponieważ nieustannie miałam pod górę. Czasami zdawało mi się nawet, że obcy byli dla mnie bardziej życzliwi i częściej mi pomagali niż domownicy.

Odwiozłam Maćka i Laurę do podstawówki, a potem dostarczyłam kanapki do szkoły Klaudii, na koniec pokonałam niewielki odcinek trasy dzielący mnie od urzędu. Od wielu lat wykonywałam tę samą pracę. Zaczynaliśmy tak samo – bez pośpiechu każdego dnia. Kawa, papieros, pogadanki, obsługa klienta, znów kawa, znów papieros i tak w kółko, aż do czwartej, kiedy już w pośpiechu opuszczaliśmy pokój, a potem urząd. Choć ja nie paliłam, wychodziłam z nimi pogadać lub po prostu w czasie, gdy oni palili, robiłam coś bezproduktywnego dla siebie – żeby odpocząć. Męczyło nas chyba samo siedzenie za biurkami. Nikt się nie wysiłał, nie po tylu latach i nie wśród starej gwardii. Każdy dzień tygodnia wyglądał tak samo. Dzisiaj jak zwykle usiadłyśmy przy biurkach, ale żadna z nas nawet nie włączyła komputera.

– Tak sobie pomyślałam – odezwała się Wioletka, najmłodsza kobieta w dziale – że zabiorę męża w podróż. Zrobię mu niespodziankę, spakuję nas i pojedę do niego do pracy. Odbiorę go i ruszymy w trasę, żeby spędzić gdzieś romantyczny weekend.

– Fajny pomysł – pochwaliłam, zazdroszcząc jej młodości, braku dzieci i braku obowiązków. – To pewnie niesamowicie ekscytujące tak zaszyć się i cieszyć się sobą przez tych kilka dni.

– A wy wyjeżdżacie gdzieś na długi weekend? – zwróciła się do mnie Mirka, która przyszła do pracy wieki temu, zaledwie tydzień po tym, jak mnie zatrudniono. Od lat siedziałyśmy biurko w biurko w tym samym mdłym pokoju. Przez te wszystkie lata zżyłyśmy się ze sobą. Czasami miałam wrażenie, że Mirka wiedziała o mnie więcej niż moja matka, ale przez to, że ja zostałam przyjęta jako pierwsza, często patrzyła na mnie jak na szefową, co faktycznie przekładało się na obowiązki. Wykonywała wszystko, co jej kazałam, i zawsze, ale to zawsze pytała mnie o zdanie, gdy musiała coś zrobić sama. Nie umiałam stwierdzić, czy aż taka czuła się ode mnie zależna, czy też mimo tylu lat pracy w urzędzie nadal nie odnajdywała

się w obowiązkach. Prędeż to pierwsze. Nie chciało jej się myśleć ani wysilać, więc czekała na moje wytyczne. Nie przeszkadzało mi to. Miałam w niej więc i przyjaciela, i pracownika.

– Nie wiem – przyznałam szczerze. – Nie wydaje mi się, żeby mój mąż mógł wziąć więcej wolnego.

– Jacek to dał sobie chomąto założyć na szyję, a teraz nim orzą – podsumowała.

– Chce zostać dyrektorem oddziału – wyjaśniłam ambicje męża, czując w jej słowach lekką ironię.

Pokiwała głową z uznaniem, co uświadomiło mi, że źle zrozumiałam jej intencje. Zamiast ironii przepełniały ją zazdrość i podziw. Nieraz słyszałam od kobiet w naszym mieście, że trafił mi się najlepszy facet w okolicy. Ambitny, dobrze zarabiający, rodzinny. Dziękowałam wtedy i uśmiechałam się, bo co miałam mówić? Narzekać na kogoś, kogo uznawały za boga? Patrzyłyby wtedy na mnie jak na niewdzięczną babę. Taką, której nic nie zadowoli, która jęczy bez powodu i której nikt przez to nie lubi. Z biegiem czasu wytłumaczyłam sama sobie, że wiele małżeństw żyje tak jak my. Z pozoru idealnie, a w środku zgliszczą uczuć.

– Co ja bym dała za tak wysoko postawionego męża, kogoś tak ambitnego? – piała nad nim, potwierdzając, co przed chwilą zrodziło się w mojej głowie. – Mojemu Jarkowi to nic się nie chce. Na wszystko kładzie lagę – zaśmiała się, a potem podjechała do mnie krzesłem obrotowym na kółkach. – A będąc przy tym temacie, wiesz, o co on mnie ostatnio zapytał?

Jej ściszony głos sprawił, że przysunęłam się bliżej zaciekawiona, bo Mirka miała to do siebie, że chętnie dzieliła się każdym, nawet najbardziej pikantnym szczegółem ze swojego życia.

– Spotkanie swingersów.

– A co to? – Zmarszczyłam brwi nieświadoma znaczenia tego słowa.

– Kilka par umawia się w jednym miejscu, a potem wymieniają się między sobą partnerami i każdy uprawia seks z kimś innym, ale nie ze swoim małżonkiem.

– Co ty mówisz? – nie dowierzałam, przyglądając się jej uważnie, bo mimo wszystko miałam nadzieję, że to był jednak żart. – I tak przy wszystkich? W jednym pokoju?

– Niektórzy wychodzą do kibla czy gdzieś indziej, ale zazwyczaj zostają w jednym pomieszczeniu. Posuwają się wszyscy ze wszystkim i rzecz jasna za zgodą wszystkich.

Uchyliłam usta z szoku, a usta Mirki rozciągnęły się w uśmiechu. Wiedziała, że udało jej się mnie zszokować.

– Skąd o tym wiesz? – wypaliłam szybko.

– Bo mi pokazał. – Zakryła dłonią oczy, jednocześnie kiwając głową. – Też nie byłam świadoma, więc pokazał mi nagranie. Wiesz, jak się przy tym uśmiechał? Jak mu się oczy świeciły? Oblizywał się, jakby miał zaraz swoim językiem świdrować waginy. Myślałam, że pękne ze śmiechu. A jaki był zły, kiedy mu odmówiłam. On myślał, ba... był pewien, że jak mi pokaże, to ja się zapalę do pomysłu i zacznę dopytywać o wolne terminy na kolejne spotkanie.

– Całkiem zdurniał. W życiu bym nie powiedziała, że Jarek ma takie pomysły.

– Kiedyś mi się wydawało, że chłop na starość się uspokaja, a tu zupełnie odwrotnie. Przygód mu się zachciało. Zrozumiałabym, gdyby miał wygląd twojego męża, wtedy to mógłby iść na seks...

– Co? – zaśmiałam się. – Jacek ma piwny brzuch i...

– Ale jest przystojny i elegancki – dodała, wchodząc mi w słowo. – Jest na czym oko zawiesić. A mój to taki... byle jaki jest.

– Garnitur jest elegancki – poprawiłam ją. – Nie on.

– Wy oboje tak pięknie razem wyglądacie. Gdybym może miała twój wygląd, te blond włosy, tę idealną cerę bez zmarszczek i to ciało jak u modelki, może patrzyłabym na to inaczej.

– A co mają blond włosy i uroda do seksu pozamałżeńskiego?

Mirka wzruszyła ramionami, a zaraz potem uśmiechnęła się szeroko.

– Zgodziłabyś się?

– Na seks z nieznajomymi? – Uniosłam brwi zaskoczona, że w ogóle mnie o to pyta.

– Tak. – Kiwała głową podekscytowana.

Przyglądałam się jej uważnie, nie mogąc zrozumieć, czy żartuje, czy też naprawdę czeka na odpowiedź. Być może, tak jak w przypadku pracy, oczekiwała mojej akceptacji. Czyżby czekała na to, że powiem jej, jak to sama chciałabym spróbować czegoś nowego i ekscytującego? Prawda była taka, że nigdy o tym nie myślałam. Nie oczekiwałam już zbyt wiele. Moje małżeństwo trwało dwadzieścia lat. Czas, w którym bywały momenty dobre, ale i takie, które przyprawiły mnie o chęć zamordowania męża. Seks pozostawał jednak taki sam – niezależnie od tego, jaką mieliśmy w związku energię. Mirka nie wiedziała, że Jacek w ogóle nie miał wyobraźni. Był leniwy w seksie i najlepiej według niego było wtedy, kiedy to ja robiłam wszystko, a on tylko leżał, zadowolony z siebie. Komuś takiemu nie chciałoby się nawet wysilić, żeby bzyknąć nieznajomą, bo musiałby jej coś pokazać, starać się ją zadowolić, zadbać o jej potrzeby. Tylko ja zgadzałam się na taką bierność i obojętność. Wieki temu wytłumaczyłam sobie, że praca go tak stresuje i wykańcza, że już nie ma weny na seks i wysilanie się w domu. Wszystko przez wypalenie. Przez to, że całe dni spędzał w pracy na zarządzaniu ludźmi, na dbaniu o ich potrzeby, na budowaniu imperium. To właśnie mnie przekonało, że wypalenie zawodowe spowodowało u niego potrzebę oddania pola komuś choć w jednej dziedzinie – w domu, w seksie. Być może gdybym ja była bardziej temperamentna, bardziej wymagająca, nasze pożycie wyglądałoby inaczej. Teraz jedyne słowo, jakim można je było określić, to to, którego nikt nie lubił: monotonia.

– Pani Ado – usłyszałam z boku głos kierownika, który wybawił mnie od dalszej rozmowy z Mirką.

– Wrócimy do tematu – szepnęła, gdy wstałam, by zrównać się wzrokiem z szefem.

– Tak? – zapytałam z uśmiechem na ustach.

– Możemy do mnie na chwilę? – Powaga na jego twarzy sugerowała, że coś przeskrobałam.

Biorąc pod uwagę, jak niewiele robiłam, nie mogłam mu aż tak podpaść, by wzywał mnie do siebie na dywanik, bo w zasadzie nie miał mnie za co ukarać. To musiało być coś innego. Może premia? Uśmiechnęłam się na tę myśl. Fajnie jest dostawać kasę ekstra... Tylko na co bym ją wydała? Nowe buty? Może jakiś masaż? Niczego mi w zasadzie nie brakowało. Przynajmniej nie materialnego.

Nie marnując jednak czasu, ruszyłam za nim. Zamknęłam za sobą drzwi i usiadłam na krześle. Starym, tak samo wiekowym jak burmistrz. Mieszkańcy uwielbiali go do tego stopnia, że przy każdych wyborach miał wręcz zagwarantowaną posadę. Dzięki temu w urzędzie panował spokój. Nie niepokoily nas zmiany, zwolnienia czy szalone pomysły na unowocześnianie. Działaliśmy tak samo od nastu lat. Każda z nas na tej samej posadzie, każda

z nas niezadowolona z pracy, ale wystarczająco szczęśliwa, by nie rzucić etatu. No bo w której pracy można było wyłączyć komputer kwadrans przed zakończeniem dnia i wyjść jakby nigdy nic? Żadna z nas nie zostawała po godzinach ani nie brała pracy do domu. Dostawałyśmy pensje niezależnie od tego, ile zrobiłyśmy. Trafiały się trzynastki, bony świąteczne, a nawet nagrody. Tylko to nas trzymało, bo chęci już dawno wygasły.

Burmistrz wziął głęboki oddech. To starość musiała go tak przygniatać, bo z roku na rok miał coraz mniej siły i werwy. Natomiast z tym samym zaangażowaniem robił przekręty. A to na projektach unijnych, a to na remontach. Ludzie mówili, zresztą my wiedzieliśmy od chłopaków z terenu, że gdy budowali szkołę, jemu odnowili dom – z tych samych materiałów. Faktury szły na urząd, materiały zarówno na plac przed szkołą, jak i na podwórko burmistrza, ale nikt nic nie mówił, a potem, przy kolejnych wyborach, składał obietnice odnowienia tego czy tamtego w zależności od tego, co potrzebował zrobić u siebie na podwórku. Pracownicy urzędu śmiali się, że jakby było możliwe, wybudowałby sobie autostradę do domu za forszę podatników. Sądzę, że mieszkańcy byli tego świadomi, ale zgadzali się na taki układ, wiedząc, że on jednak coś dla miasta robił. Dużo się zmieniało dzięki niemu, więc mimo wszystko wyborcy darzyli go zaufaniem.

– Mam dla pani złą wiadomość – zaczął, poprawiając się w fotelu. Odchylił się, eksponując swój brzuch, co wyglądało tak, jakby się chciał ode mnie odsunąć albo pokazać, jak bardzo się spisał.

– Proszę mówić – powiedziałam, uśmiechając się do niego, mimo że ta zła wiadomość oznaczała jedno: brak premii. Pewnie ochrzan za coś. Może nawet za gadanie o seksie w miejscu pracy, gdzie potencjalny petent mógł nas usłyszeć. Albo nawet za gadanie ogólnie, bo przecież nie powinnyśmy plotkować, tylko brać się za pracę.

– Wie pani, że teraz to wszystko robimy komputerowo, a pracę wykonywaną ręcznie minimalizuje się do zera. Taki to już czas nadszedł, że ludzie popełniają więcej błędów niż maszyny.

Przytaknęłam, zastanawiając się, o jakim błędzie bredził ten starzec. Czyżby ktoś na mnie złożył skargę? Tylko czemu ten niezadowolony petent nie przyszedł najpierw do nas, do mnie z pretensją? Kto to mógł być? Kogo w ostatnich dniach mogłam wkurzyć? Nie, nie doszło z nikim do nieprzyjemnej sytuacji. W zasadzie nawet przez zaskakująco długi czas panował spokój. Nie trafił się żaden awanturnik.

– W związku z tym musimy zredukować dwa etaty – zawyrokował, a mnie przeszedł dreszcz. Zrozumiałam w lot, że on mnie zwalniał. – Pani praca jest w pełni zastąpiona komputerem, dodatkowo z działu jest pani najwolniejsza. Pani Mirka zaraz za panią.

– Więc postanowił nas pan wywalić, tak? – zapytałam rzeczowo, ułatwiając mu sprawę.

– Nie wywalić – sprzeciwił się, nachylając się odrobinę w moim kierunku. – To jest po prostu redukcja etatów.

– To jest to samo, tylko ładniej nazwane.

– Niech pani nie będzie na mnie zła. Ja po prostu wypełniam odgórne polecenia.

– Czyje? – zapytałam odważnie, co zbiło go z tropu.

Uniknął odpowiedzi i podsunął mi wypowiedzenie umowy o pracę pod nos. Zerknęłam na nagłówek. Za porozumieniem stron – czego innego mogłabym się spodziewać?

– A odprawa?

– Musiałbym zwolnić co najmniej dziesięciu pracowników, a na razie muszę tylko dwie osoby.

– Czyli nie należy mi się? – podsumowałam jego wypowiedź.

– Chciałaby pani, żebym zwolnił aż dziesięć osób po to, by dostała pani odprawę od zwolnień grupowych?

– Mnie inni nie interesują, proszę pana. Tylko moja sytuacja. To, że mam czterdzieści dwa lata i będę bezrobotna.

– Jest pani przecież taka młoda, z dobrym wykształceniem, doświadczeniem. Szybko pani coś znajdzie. Jestem tego pewien.

– A ja nie – rzuciłam z przekorą.

– Przecież nawet nie musi pani pracować. Pani mąż to tak wysoko postawiony człowiek.

– Pan żartuje, prawda? – Zmarszczyłam czoło poirytowana, że wyciągnął akurat taki argument. Co miała do tego praca mojego męża?

– Przepraszam – zreflektował się po tym, jak posunął się za daleko. – To nie moja sprawa. Po prostu zżyłem się z panią i żał mi patrzeć, że akurat panią, z takim stażem, muszę odprawić.

– Są z mniejszym stażem – odpowiedziałam mu. – Jak Wiolka.

– Ale lepiej pracują.

Gdybym wiedziała, że grozi nam zwolnienie, sama bym się lepiej przykładła. Wzięłam za pewnik moją ciepłą posadę, która, jak się okazało, ostygła tak szybko jak gówno w przerębli. Mogłabym kłamać o tym, jak bardzo się przykładam, albo błagać go o szansę, ale nie zrobiłam tego. Nie lubiłam tej pracy. Nie na tyle, by o nią walczyć. Wstałam dumnie.

– Jak pani chce, może pani odejść już dzisiaj, a okres wypowiedzenia spędzi pani w domu albo na szukaniu nowej pracy. – W jego głosie wyczuwałam ekscytację, tak jakby chciał mi podświadomie zakodować, że właśnie zrobił mi prezent, pozwalając mi porzucić miejsce pracy już dziś.

– Dziękuję – powiedziałam bez żalu w głosie.

Wracając do biurka, przy którym spędzałam osiem godzin codziennie od dobrych czternastu lat, czułam z jednej strony żal, że ten czas dobiegł końca, a z drugiej zadowolenie, że ktoś podjął za mnie tę decyzję. Gdzieś tam głęboko w środku cieszyłam się na myśl o pustym i cichym domu po tym, jak wszyscy z niego wyjdą. Marzyłam o kawie wypitej powoli i bez pośpiechu w promieniach słońca, na leżaku na tarasie. Zasługiwałam na to. Na przerwę, na zwolnienie obrotów. Może szef miał rację, mówiąc, że wcale nie potrzebowałam pracować i mogłam cieszyć się spokojem na koszt męża, który, jak zauważył mój pracodawca, zarabiał wystarczająco dużo. Zastanawiałam się, co w pierwszej chwili sprawiło, że zdecydowałam się na etat. Od razu przypomniałam sobie początki naszej rodziny. Czas, gdy myśląc o dzieciach, postanowiliśmy wziąć kredyt na dom. Kupiliśmy po kimś stan surowy i wyszykowaliśmy go, topiąc w nim masę pieniędzy. Przeliczyliśmy się z oszacowaniem kosztów, co w rezultacie doprowadziło nas do tego, że poza kredytem hipotecznym musieliśmy jeszcze dobrać kredyt konsumencki, by starczyło nam na meble. W pewnym momencie, gdy siedzieliśmy w banku i podpisaliśmy umowę z wysokim oprocentowaniem, Jacek zapytał, czy nie powinniśmy się poddać, sprzedać dom i wziąć coś mniejszego. Zawahałam się tylko na chwilę. Zależało mi na tym, by zagwarantować dzieciom odpowiednie miejsce do dorastania, a ta dzielnica właśnie

taka była – prestiżowa. Nasze życie dopiero się zaczynało, więc kiedy jak nie wtedy mieliśmy mierzyć wysoko. Byliśmy młodzi, pełni nadziei. Wystarczyły ręce do pracy i nasza miłość. Mieliśmy wtedy tylko dwoje dzieci, a Jacek jeszcze nie objął managerskiego stanowiska, które zagwarantowałyby nam dobrą pensję. Mimo to złożyliśmy podpisy trzęsącymi się dłońmi. Wtedy byliśmy sobie równi i chyba właśnie przez to szczęśliwi. Musiałam iść do pracy, bo Jacek na mnie polegał, by wyrobić się z opłatami, utrzymaniem domu i spłatą kredytów. Zaległości topniały, więc pojawiały się nowe cele. Marzyliśmy o tym, by choć raz na rok wyjechać za granicę na wakacje – było na co odkładać. Potem z każdym dzieckiem koszty się powiększały, a ja wiedziałam, że nawet państwowe grosze są lepsze niż siedzenie w domu. Jacka awanse zaczęły się tak naprawdę jakieś dziesięć lat temu, może nawet później, więc bez mojej pensji z czwórką dzieci kulelibyśmy finansowo.

– Zwolnił mnie – ogłosiłam, wchodząc do działu.

– Co?! – Mirka zerwała się z krzesła i podeszła do mnie oszołomiona, ale szybko połączyła fakty. – Tylko ciebie czy innych też będzie wywalał?

Nie mogłam się dziwić jej reakcji, bo w przeciwieństwie do mnie potrzebowała tego etatu jak powietrza. Jej sytuacja była dużo gorsza niż moja. Wszystko przez jej męża, który jako budowlaniac miał pracę sezonową i niepewny dochód.

– Jeszcze jedna osoba poleci – przekazałam zgodnie z prawdą – ale nie pytaj mnie kto, bo mi nie powiedział. Uargumentował moje zwolnienie tym, że najgorzej pracuję, co rzecz jasna jest prawdą – uśmiechnęłam się, wypowiadając ostatnie słowa.

– Ada – potrząsnęła mną Mirka – do ciebie chyba nie dotarło. Wywalił cię! Dziewczyno!

– Dotarło. – Wyszłam z jej rąk, chwyciłam torebkę, do której wrzuciłam rodzinne zdjęcie stojące przez te wszystkie lata w kącie biurka, a potem upiłam z kubka na moim biurku łyk kawy, tej dobrej, droższej. – Dziękuję za wspólne lata pracy, za pogawędkę i wsparcie. – Posłałam im uśmiech. Każdej po kolei za wyjątkiem Wiolki, która dopiero co zaczęła tutaj pracę. – A teraz wybaczcie, moje drogie, ale idę do domu!

Wprawiłam je w zaskoczenie, gdy odwróciłam się na pięcie i wyszłam z pokoju. Przeszłam przez korytarz w wyśmienitym nastroju, co zupełnie nie pasowało do sytuacji. Do mnie jednak powoli docierało coś zupełnie innego. Powinnam była rzucić tę robotę wieki temu. Po co ja się tak kisiłam? Tak męczyłam przez te wszystkie lata? Wyżywałam się na mężu i na dzieciach, bo zgorzkniała, zmęczona i wypalona nie miałam już siły na dom. Zmarnowałam swoją energię na obcych ludzi, podczas gdy domownicy mieliby ze mnie większy pożytek. I w imię czego? Marnej urzędowej pracy bez szans na awans i podwyżkę? Jaka ja byłam głupia! Czemu na to wcześniej nie wpadłam? Powinnam wrócić i uściskać burmistrza, że podjął za mnie tę decyzję.

Wsiadłam w auto i włączyłam radio. Szukałam odpowiedniej piosenki, by oddać dobrze mój nastrój. Śpiewałam w najlepsze, ciesząc się z wolności. Nawet okno na chwilę uchylałam, choć zimne powietrze chłostało boleśnie moje policzki ostrymi podmuchami.

Wróciłam do domu. Kiedy stałam tak przed miejscem, które kiedyś bardzo kochałam, zobaczyłam, jak bardzo je zaniedbaliśmy. Już nie rosły nigdzie kwiatki, trawa wypłowieła, a gdzieniegdzie nawet wytarła się do gołej ziemi. Pod parapetami zacieki od wody pomieszanego z zielonymi glonami ciągnęły się aż do podmurówki, a ta z kolei już kilka lat temu powinna być pomalowana, bo łuszczyła się jak spalona od słońca skóra. To nie tak, że dopiero teraz

olśniło mnie, że nasz dom wymagał dużego nakładu pracy. Wcześniej też to widziałam, ale nie miałam siły, by cokolwiek zrobić. Nawet zatrudnienie kogoś z zewnątrz nie wchodziło w grę, bo na mnie spadłoby wybieranie farb, pilnowanie człowieka czy sprawdzenie jakości pracy. Obiecałam sobie, że teraz to nadrobię. Teraz w końcu miałam czas. Mogłam zapomnieć o urzędzie raz na zawsze i zacząć żyć pełną piersią. Zadbac o coś, co kiedyś nazywałam szczytem swoich marzeń. Poświęcić rodzinie więcej czasu, porozmawiać z nimi. Tak na spokojnie, tak jak to Jacek określił – jak w filmach. Z każdą kolejną upływającą chwilą czułam się tak, jakby to bezrobocie było wygranym losem na loterii.

Tak jak sobie wymarzyłam, zaczęłam od kawy na tarasie. Słońce przypiekało. Świeciło mi w twarz, ale nie uciekałam, nie zasłaniałam się. Potrzebowałam jego ciepła, tego wręcz fizycznego nagrzania skóry. Schowałam się tylko przed wiatrem, zawińłam szczelnie w koc i usiadłam na plastikowym i lodowatym leżaku. Choć temperatura nie pozwalała na długie siedzenie, rozkoszowałam się chwilą. Ciszą. Odmawiałam wejścia w mury, bo w taki przecież sposób spędzałam do tej pory każdy dzień, a teraz niczego tak nie potrzebowałam jak zmiany. Jak tchnienia radości. Jak widoku błękitnego nieba, co pod koniec roku nie zdarzało się często.

Siedziałabym tak jeszcze dłużej, ale zadzwonił telefon – domowy. Zerwałam się z miejsca, potem jednak wyhamowałam i powoli doszłam do aparatu. Zastanawiałam się, gdzie ja się tak śpieszę. Ciągłe czuję tę presję, że muszę coś na już, na teraz. Ciągłe pospieszam samą siebie zła, że samochód za wolno jedzie, że dzieci grzebią się z jedzeniem, że zajmują zbyt długo łazienkę, że Jacek mimo tak wysokiego stanowiska nadal wraca późno, a my przez to mamy tak mało czasu razem, który starałam się w pośpiechu wypełnić... Ta myśl mnie zatrzymała. Pokręciłam głową. Tego to już dawno nie robiliśmy – nie spędzaliśmy ze sobą czasu. Tak czy siak śpieszno mi było do położenia się do łóżka, by coś obejrzeć lub poczytać. Ciągłe byłam w biegu. Postanowiłam to zmienić. Nadszedł czas na nową mnie!

Sięgnęłam po słuchawkę przekonana, że to pewnie Mirka nie mogła już dłużej usiedzieć i musiała dowiedzieć się pikantnych szczegółów z naszej rozmowy z burmistrzem. Tyle że ja nie zachowałam dla siebie nic takiego, czego już jej nie przekazałam.

– Halo? – zgłosiłam się.

– Dzień dobry, dzwonię z gabinetu doktora Myszkiewicza... – przedstawiła się kobieta z miłym, ciepłym głosem. – Próbowaliśmy się dodzwonić do doktora Borny...

– Do kogo? – uśmiechnęłam się pod nosem, sądząc, że to pomyłka. Mój mąż nie miał tytułu doktora.

– Do doktora Borny, Jacka Borny – doprecyzowała, a ja już chciałam jej wyjaśniać, że to pomyłka, kiedy ona, intrygując mnie, dodała: – Musiał zmienić numer telefonu.

– Tak, zmienił – potwierdziłam. – Ale kilka lat temu.

– Tak sądziłam. W każdym razie dzwonię, żeby przypomnieć o badaniu. Doktor Borna nie stawiał się przez ostatnie lata na żadne badania kontrolne, a teraz, kiedy dostaliśmy jego zlecenie, muszę się z nim pilnie skontaktować, więc...

– Badania czego? – dociekałam. – Dzwoni pani z kliniki Atlas?

Dziwiło mnie, że kobieta pracująca dla mojego męża zadawała sobie trud, by dzwonić do mnie, do domu, kiedy mogła iść na najwyższe piętro do administracji i porozmawiać z nim osobiście.

– Nie, z kliniki leczenia niepłodności – wyjaśniła, a ja usiadłam na krześle.



– To jakaś pomyłka. My nigdy z tym nie mieliśmy problemu – dodałam żartem, mając na myśli naszą czwórkę dzieci, których poczęcie przyszło bezproblemowo.

– Doktor Borna wykonał u nas wazektomię prawie dziesięć lat temu...

Uchyliłam usta z szoku. Nie powiedział mi o tym. Nigdy nawet nie rozmawialiśmy o tej procedurze. Czemu wykonał ją za moimi plecami? Wstydził się? A może tak bardzo nie chciał dzieci, że zdecydował za nas oboje, za mnie... sądząc, że ja wyskoczyłabym któregoś dnia z szalonym pomysłem zrobienia sobie kolejnego potomka. Przecież to niedorzeczne! Ogarnęła mnie irytacja, ale szybko się otrząsnęłam. Dopuszczałam myśl, że moje nastawienie, moje warczenie na niego spowodowało, że odsunął mnie od decydowania w tak poważnym temacie. Z drugiej strony musiał przecież wiedzieć, że gdyby mi powiedział, od razu bym się zgodziła. Nie prosiłabym go o wstrzymywanie się. Rozdział poświęcony ciąży już zamknęłam. Nawet ucieszyłam się, wiedząc, że teraz on wziął na siebie antykoncepcję. To mi z kolei przypomniało o czymś innym. Po co przez te wszystkie lata brałam tabletki? Mogłam przecież żyć bez żadnego świństwa, a tak trulałam się chemią dla seksu raz na tydzień albo i rzadziej tylko dlatego, że on bał się powiedzieć. Rozumiem, że to jego ciało, ale skoro decydowanie o nim wpływało też na moje ciało, był mi to winien. Czy nie na tym polega małżeństwo?

– Przekażę mężowi – odezwałam się w końcu, budząc się z zamyślenia.

Podziękowała mi i rozłączyła się. Wróciłam na taras, ale kawa już nie smakowała mi tak jak wcześniej, nawet słońce zaczęło mnie denerwować, a zimno dokuczać. Leżak uwierał w tyłek, mimo że jeszcze chwilę temu mogłabym tutaj, zawinięta w koce, zasnąć.

Tysiące myśli przebiegało mi przez głowę. Co się z nami stało? Przestaliśmy rozmawiać, ale kiedy? Z jakiego powodu? Może z pośpiechu, może z braku czasu, który oboje dzieliliśmy między pracę na pełny etat a życie rodzinne.

## TYMEK

Zerknąłem na boisko. Wiedziałem już, że nie wygramy. Koledzy krzyczeli do siebie, obwiniając się nawzajem za kiepską grę. Tak naprawdę wszyscy daliśmy dupy. Każdy z nas w takiej samej mierze. Brakowało nam teraz dwóch bramek, żeby wygrać. Jednej, żeby chociaż zremisować. Trener biegał wzdłuż linii i opierdalał nas na odległość. Zerknąłem na niego, a on uniół ręce, jakby samego Boga prosił o pomoc w tej beznadziejnej sytuacji. Patrząc na niego, kręciłem głową z niedowierzaniem. Przecież to tylko rozgrywki szkolne, nie mundial. Po co takie nerwy? Przecież nie wszystkie mecze są wygrane. Czasami trzeba przegrać, żeby się czegoś nauczyć.

– Kosmaty! – krzyknąłem do kumpla. – Patrz na trenera!

– Gdyby mógł, toby taniec indiański odwalił, żebyśmy tylko wygrali, a ja tak sobie myślę, że chuj z tym. Składamy broń i biegamy przez następne dziesięć minut tak, żeby tylko do gwizdka jakoś dociągnąć. Rozciągniemy grę na boki i tyle. Tak, wiesz... żeby się odpierdolił, że jednak coś tam zrobiliśmy.

– Weź nie pierdol! – warknąłem na niego. – Gramy na serio! Nie ma odpierdalania akcji! Będziemy walczyć do ostatniej minuty! A może się uda?

Kosmaty był genialnym atakującym, ale z taką bandą jełopów nic nie mógł zrobić, bo przeciwna drużyna szybko się zorientowała, że jest naszym najlepszym zawodnikiem i obstawiali go jak gwiazdę przy wejściu do centrum handlowego.

Piłka znów wróciła na boisko, a my zaczęliśmy nacierać na bramkę. Kosmaty był po przeciwnej stronie boiska, rzecz jasna w towarzystwie dwóch innych, którzy co chwilę łapali go nieprzepisowo za koszulkę, żeby tylko go zablokować. Wiedziałem, że nawet gdy mu podam, nie będzie w stanie się precyzyjnie przez zasieki, jakie mu postavili. Postanowiłem zaryzykować i biegłem ile sił w nogach w kierunku bramki. Dwukrotnie musiałem oddać na chwilę piłkę, bo mnie przycisnęli, ale gdy tylko z powrotem do mnie trafiła, kontynuowałem natarcie. Przeciwnicy zrozumieli, co się dzieje, i rzucili się w moim kierunku, żeby mnie zatrzymać. Wykorzystując sytuację, że podbiegli właśnie do mnie, podałem długim łukiem z mocnego kopnięcia do Kosmatego, a on wsadził piłkę w bramkę. Od razu. Trener skakał jak na koncercie rockowym i gdyby mógł, wbiegłby na murawę, żeby nosić nas na rękach. Dziwiło mnie jego podekscytowanie. Może mu płacą ekstra za wygraną? Niemożliwe, żeby trener tak się cieszył bez podtekstu. A może skakał z zimna, bo mu dupa zamarzała?

– Dobra robota. – Podbiegł do mnie Kajtek. – Ustaliliście z Kosmatym?

– Nie, sam wymyśliłem – przyznałem.

– Jeszcze jeden – odpowiedział i odbiegł na swoje miejsce.

Bramkarz, chcąc pomóc swoim, wyjechał piłkę na naszą połowę, ale nie zniechęciło nas to. Wiedziałem, że tym razem nie uda nam się powtórka akcji. Wymyśliłem, że zrobię dokładnie to samo, by ich zmylić, ale zamiast do Kosmatego sam spróbuję strzelić gola. Oni pewnie już go nie zostawią po raz drugi. Zerknąłem przelotnie na trybuny - dziewczyny piszczały, zagrzewając nas do gry. Moją uwagę w szczególności skupiała blond piękność – Klaudia. To, jak się prezentowała, zniewalało mnie za każdym razem, gdy na nią zerkałem. Te pełne usta, wysokie czoło, zadarty lekko nos i wypukłe kości policzkowe. Nie było żadnej innej dziewczyny tak ładnej jak ona. Ostatnio kręciłem się koło Kajtka, bo to jego siostra, a

tylko w taki sposób mogłem pozwolić sobie na kontakt z nią. Niestety mnie nie zauważała. Traktowała mnie jako kolegę, zupełnie nie dopuszczając do myśli nas jako pary. Nie widziała we mnie kandydata na chłopaka, ale nie zniechęcało mnie to. Wierzyłem, że jeśli będę się starał o jej względy, z czasem mnie dostrzeże.

Po kilku zawirowaniach, jednej nieudanej próbie podbramkowej piłka trafiła do nas. Biegiem ruszyliśmy przed siebie. Tym razem Kajtek kiwał się jak zawodowiec, by na koniec podać piłkę do mnie. Wystrzeliłem z procy jak wariat, zostawiając wszystkich w tyle. Zerknąłem w bok na Kosmatego i dwóch głupoli wręcz trzymających go za koszulkę, ale nie podałem. Zaryzykowałem. Bramkarz skakał naprzeciwko, starając się odgadnąć, gdzie pośle piłkę, a ja sprytnie udałem, że kopnę z prawej, ale przeskoczyłem w ostatniej chwili i zaatakowałem z lewej. Piłka poszła w róg, rozciągając siatkę. Cieszyliśmy się, klepiąc się po plecach i tyłkach. Trener bił brawo, a potem zagwizdał. Wiedziałem po co. Chciał nam powiedzieć, żeby tylko blokować piłkę i rozciągać grę. Mimo to zbiegliśmy się, a on pochwalił mnie przy wszystkich.

– Myślałem, że tylko Kosma ma tu talent, ale myliłem się. No, no. Rośnie nam tu gwiazda. Tylko czemu dopiero teraz się wyklułeś? Ale nic to, mamy wygraną, panowie. Teraz rozciągajcie grę...

– Nieźle – szepnął do mnie Kosmaty. – Dobra akcja.

Pozostałe trzy minuty biegaliśmy po boisku, nie dając przeciwnikowi dojść do piłki, a gdy zagwizdali, zatrzymaliśmy się, jakby ktoś nagle odebrał nam siłę do biegnięcia dalej. Kajetan ściągnął koszulkę. Niby wycierał włosy, ale wiadomo było, że chciał pochwalić się klatą. To samo zrobił Kosma. Zazdrościłem im, że tak łatwo i szybko wypracowali taką rzeźbę. Wprawdzie ostatnio ćwiczyłem trochę w domu, ale u mnie jakoś masa mięśniowa nie wzrastała tak szybko. Oni to taki typ, co to zeżre byle co, zrobi byle co, a rośnie jak ciasto na drożdżach. Pieprzona genetyka. Czemu ja mam gen wątlego, chudego chłopca?

Zaraz obok pojawiły się dziewczyny.

– Nie zimno ci? – zapytała Klaudia opatulona puchową kurtką.

Już miałem odpowiedzieć, gdy zrozumiałem, że jej pytanie było skierowane do kumpla. Nie do mnie.

– Jestem rozgrzany – odpowiedział Kosma.

– Świetnie grałeś.

– Graliśmy – poprawił ją brat. – Jakbyś nie zauważyła, zarówno ja, jak i Tymek wypruwaliśmy sobie żyły.

– Kosmaty chciał się poddać – zdradziłem kumpla.

– To była gadka motywująca – odezwał się od razu z szerokim uśmiechem na ustach.

– Bez tego stałbyś na boisku z rękami w kieszeniach i patrzył, jak nam strzelają bramki jedną za drugą. Nagadałem ci tak, żebyś się wziął do roboty. Gdyby nie ja, niczego byśmy nie wygrali – przechwalał się, a we mnie rosła irytacja, bo dwie ostatnie bramki były akurat moją zasługą. To ja mu asystowałem, a drugą zdobyłem sam. On jednak widział to zupełnie inaczej.

Włożył na siebie koszulkę. Przeczesał dłonią po czarnych włosach, a Klaudia podała mu ręcznik, żeby się wytarł. Patrząc na nich, wiedziałem już, czemu na mnie nie zwracała uwagi. Nie widziała świata poza nim. Mogłem się wkurzać na nią i na niego, ale Kosma był lepszy ode mnie pod każdym względem. Pocieszałem się, że uczyłem się lepiej niż on, ale na dziewczyny nie leciały. W technikum mieliśmy tylko kaszaloty, nie takie laski jak Klaudia.

Pewnie nawet nie wiedziała, że byłem najlepszy w klasie. Nie miała pojęcia, że wygrywałem olimpiady, a szkoła dokupiła szafkę na zdobywane przeze mnie puchary. To się teraz nie liczyło. Dobrze zbudowane ciało Kosmy miało większą wartość. On też, zdawało się, wiedział o tym, bo uśmiechał się do niej uwodzicielsko. Niby nie starał się jej zdobywać, ale jakimś cudem cała jej uwaga skupiała się tylko na nim.

– Co robisz po szkole? – zapytałem Klaudii, a wszyscy na mnie spojrzeli.

Wydawało mi się, że to będzie naturalne pytanie, ale wzrok pozostałych powiedział mi coś zgoła innego. Nikt się tego nie spodziewał. Moje pytanie musiało brzmieć tak, jakbym zapytał o kolor jej majtek.

– Ja? – uśmiechnęła się, zerkając od razu na Kosmę. – Myślałam, żeby gdzieś wyjść, ale muszę się pouczyć do testu na jutro. Obejrzę więc jeden odcinek anime i wsadzę nos w książki.

– Anime? – zapytałem.

– Wsadzisz? – wyłapał w tym samym momencie Kosma. – I to w książki? Nie masz nic lepszego?

Jego dwuznaczna uwaga spowodowała wybuch śmiechu u dziewczyn. Miałem ochotę dzielić ich wszystkich po łbach. Co w tym śmiesznego? Aluzja do seksu? Takie to zabawne? No i gdzie miałyby niby włożyć ten nos? W jakie erogenne miejsce? Pod pachę? A może w pachwinę? Albo pod jaja? Było mi głupio na samą myśl, jak miałyby się to skończyć. Nawet nie potrafiłem sobie tego wyobrazić, ale Klaudia zanosila się śmiechem, słysząc kolejne komentarze Kosmatego. Co więcej, dorównywała mu w dwuznacznych tekstach. Uzmysłowiłem sobie, że Klaudia pasuje bardziej do niego niż do mnie, nawet jeśli chodzi o prymitywne poczucie humoru, bo ja się z takich żartów nie śmiałem. Nie bawiło mnie nic z ich sugestii. Co więcej, uważałem je za dziecinne i denne.

– Tyme! – krzyknął do mnie Kajtek. – Jedziemy?

Ani Kajtek, ani boski Kosma nie mieli samochodu. Starzy Kajtka w niczym nie mogli się zgodzić, więc sprawa auta ugrzęzła i mimo że kumpel wręcz ich błagał, nadal matka woziła go do szkoły jak malucha, co przy młodszym rodzeństwie było w sumie uzasadnione. On się na to wkurzał, bo matki stary van wyglądał jak karawan pogrzebowy, ale nie odmawiał jej, bo w przeciwnym wypadku musiałby zasuwać z buta. Ostatnio coraz częściej prosił starego, żeby go przywoził jego służbową beemką. To auto miało urok, ale niestety więcej czasu spędzał w vanie. Z kolei Kosma, wychowany tylko przez matkę, nie miał środków nawet na byle jaki samochód. Kobieta oddałaby nerkę, by mu kupić nawet jakiegoś starego rżęcha, gdyby tylko poprosił, ale Kosmaty zdawał się zupełnie nie zwracać uwagi na modę i słowem nie wspominał, że potrzebował auta. Kiedyś korzystał z autobusu, ale dużo czasu mu schodziło na przemieszczanie się piechotą między przystankami. Teraz popylał na rowerze... nawet zimą. Wkładał wtedy kominiarkę na twarz, która osłaniała go od mrozu, i pedałowal bez słowa narzekania. To chyba też się dziewczynom podobało. To, że nie narzekał, że nigdy nie wypierał się swojej trudnej sytuacji. Otwarcie mówił o tym, na co go stać, a na co nie. Dzięki temu nikt mu nie dokuczał... choć w zasadzie to się zmieniło dopiero w ostatnich kilku latach, bo wcześniej Kajtek dał mu ostro popalić. Mógłbym nawet powiedzieć, że go zajebiście prześladował przez jakiś czas. Nawet stara Kajtka została raz wezwana do szkoły, ale jak to u nich bywało, rozeszło się po kościach, bo matka w urzędzie na posadzie, a stary – wielki boss. Nikt im nie chciał podpaść. Za każdym razem dyrektor mówił Kosmatemu i jego matce, że

dzieci z tego wyrastają, bo bał się przyznać, że przymykał oko na dziwne akcje Kajtka ze względu na to, że jego rodzina znaczyła więcej w społeczności tego zapyziałego miasteczka niż samotna matka z dzieckiem. Z czasem, na szczęście, uspokoiło się, a chłopaki zakumplowali się do tego stopnia, że praktycznie każdą chwilę spędzali razem. Los bywa zabawny, bo teraz między chłopaków wchodziła Klaudia, która być może połączy ich na zawsze – jeśli oczywiście nie uda mi się jej zdobyć.

Wsiadłem do samochodu i od razu włączyłem dmuchawę. Kosma zapakował rower do bagażnika. Zwykle jedno koło wystawało, ale kupił linki, którymi obwiązywał go tak, żebym mógł jechać bez denerwowania się, że przy zakręcie wypadnie na ulicę.

– Dzięki – rzucił, wsiadając do środka, a ja skinąłem do niego porozumiewawczo głową.

Klaudia siedziała pośrodku, obok niej, z lewej strony, koleżanka, która zawsze patrzyła na nas lekko spod oka, a z prawej Kosma. W fotelu pasażera, obok mnie, wygodnie zasiadł Kajtek i zaczął od razu majstrować przy muzyce.

– Jakies specjalne życzenia? – Odwrócił się w stronę tylnej kanapy.

– Może coś Kygo? – poprosiła Klaudia.

– Już się robi – rzucił i chwycił swój telefon w poszukiwaniu odpowiedniej piosenki.

Mimo że to nie był jego samochód, połączył swój telefon z systemem bluetooth, co tylko potwierdzało, że Kajtek wszędzie czuł się jak u siebie. Już nawet nie pamiętałem, czy mnie pytał o zgodę, czy po prostu zrobił to ot tak. – Wiesz, że stary jedzie w delegację? Jakbyśmy matkę gdzieś wysłali, to mielibyśmy chatę dla siebie.

– Tylko gdzie byś ją wysłał? – Klaudia wyraźnie się skrzywiła. – Zada ci milion trzysta pytań, wietrząc podstęp na kilometr. Przecież wiesz, jaka jest...

– A jakby z ojcem pojechała? Może byśmy ją namówili? Albo do babci?

– Nie licz na to, twoja stara nigdy nie zostawi ci domu – podsumował Kosma. – To nie taki typ, której wciśniesz kit, że ma gdzieś jechać, i się nie domyśli, co naprawdę kombinujesz. W życiu nie pozwoli ci na to...

– Specjalista się znalazł – wypalił Kajtek. – Skąd ty masz taką wiedzę na temat mojej matki?

– Bo wiem, co o niej ludzie gadają – stwierdził, ale zanim Kajtek zareagował, zaczepnie dodał: – Pamiętasz, jak przyszła do szkoły z pretensją, że Klaudia dostała złą ocenę za jakiś projekt?

– Co? – Kajtek odwrócił się, by na niego spojrzeć. – O czym ty mówisz?

– No nie pamiętasz? A ty? – zwrócił się do Klaudii.

– Chodzi o tę krzywą akcję z chemiczką? – dopytywała, a Kosma rozweselił się, widząc, że ona pamięta to wydarzenie. – Było coś takiego.

– Wasza matka poszła do dyrki na skargę, że jakaś dziewczyna dostała lepszą ocenę, bo się popłakała do nauczycielki, lamentując o rozwodzie rodziców, i ta, chcąc ją pocieszyć, podniosła jej ocenę, mimo że dziewczyna nic nie umiała i tak naprawdę nie zasłużyła nawet na dopuszczenie.

– Tak! – Klaudia klasnęła w dłonie. – Tak było.

– Czemu ja o tym nic nie wiem? – Kajetan odwrócił się i spojrzał na mnie. – A ty też o tym słyszałeś? – Zaprzeczyłem od razu, kręcąc jedynie głową. – To skąd Kosmaty wie? Skąd wiesz? – Znów odwrócił się do niego.

– O Jezu. – Wypuścił powietrze. – Przecież wasza matka to ma naprawdę dużo ciekawych historii, o których ludzie gadają.

– Co jeszcze? – Słaby głosik Klaudii ledwo do nas dobiegł.

– Co? – skrzywił się jej brat, wysuwając jeszcze bardziej w jej stronę. – Mruczysz coś pod nosem! O co ty mnie pytasz?

– Nie ciebie, Kosmę – wyjaśniła głośniej. – Co jeszcze o mamie gadają?

– E tam... – Kosmaty machnął ręką.

– Jak zacząłeś, to dokończ – upominała go. – Nie możesz ot tak rzucić słów na wiatr i udawać, że nic się nie stało.

– Tak, jakbyś sama nie wiedziała.

– Nie, nie wiem.

– No mów – ponaglił go Kajetan. – Dawaj. Dziel się. Widocznie nam ludzie nie gadają, bo jesteśmy jej dzieciakami, a z obcymi dzielą się chętnie. Jak coś śmiesznego, to z chęcią posłuchamy. Wiesz przecież, że mam do matki zdrowe podejście. Nie przypierdolę ci, jeśli o to boisz się – zażartował.

W samochodzie zapadła na chwilę cisza. Właśnie dojeżdżałem do liceum dziewczyn, gdzie musiały wysiąść. Jeśli zostaniemy na dłużej, spóźnimy się na lekcje. Lepiej by było, gdyby się Kosmaty w język ugryzł, a nie zaczynał plotkować o matce Klaudii. Wiadomo przecież, że dziewczyna będzie czuła potrzebę bronienia jej. Wynikną z tego same kłopoty. Z drugiej strony pomyślałem, że może wścieknie się na niego – za to, jakie ma podejście do jej matki, a wtedy ja zyskam szansę. Chciałbym, żeby przestała go lubić, więc każdy powód był dobry.

– No na przykład – zaczął Kosma – jak do urzędu przyszła baba, taka stara, wsiowa i wasza matka jej powiedziała, żeby się umyła, jak idzie do ludzi. Kazała jej wyjść i wrócić, jak się wykąpie. Nazwała ją brudasem.

Nie tego się spodziewaliśmy, nikt nic nie mówił. Miało być śmiesznie, a zrobił się kwas. Niezręczna cisza uwierała każde z nas. Kygo brzmiał z głośników, ale wątpiłem, by muzyka trafiała w czyjekolwiek uszy. Dla pewności musnąłem pokrętło, ścisząc piosenkę. Czekałem na osobę, która odezwie się jako pierwsza. Ja nie zamierzałem zabierać głosu. Nie w tej sprawie. Nie w momencie, w którym wyraz twarzy Klaudii przypominał rozczarowanie.

– Wiesz – zaczęła powoli Klaudia – jeśli ludzie przychodzą do urzędu, śmierzdząc jak obora, to dobrze jej powiedziała. Niech się kobieta ogarnie, zanim wyjdzie z domu. Ludzie też nie mają pojęcia, jak się zachować czy ubrać.

– Nie mówię, że twoja stara zrobiła coś złego – rzucił lekko Kosma. – Tylko wiesz, to takie nietypowe. O nikim nie słyszałem takich rewelacji jak o twojej matce. W zasadzie tylko o niej. Nawet burmistrz jest mniej popularny niż ona.

– Dlatego, że jest osobą publiczną! – wypaliła od razu z wyrzutem, tak jakby to było coś oczywistego.

Bycie osobą publiczną miało się nijak do chamstwa, ale tłumaczenie tego też byłoby bez sensu. Gdyby Kosmaty wyskoczył z czymś zabawnym, pośmialibyśmy się chwilę i rozstali. Niestety nastąpił marazm.

– Słuchajcie – wszedłem im w słowo, nie chcąc tego dłużej ciągnąć – musimy jechać.

Klaudia niechętnie wyszła z samochodu. Już nie uśmiechała się tak szeroko jak wcześniej. Kosmaty jej podpadł, a ja się z tego w duchu cieszyłem. Na dodatek nie miał teraz

szansy wyjaśnić jej, że wcale nie zamierzał obrazić jej matki. Jeśli mu na niej zależy, będzie musiał się postarać na nowo o jej względy. Może nawet przeprosić, co Kosmatemu nie zawsze wychodziło. To z kolei dawało mi pole do popisu. Obiecałem sobie, że pokażę się jako ten, który jest miły i fajny, a przede wszystkim ma szacunek do rodziców. Nawet jeśli to prawda, że jej matka potraktowała tak chamsko kobietę ze wsi, nagadam na Kosmatego, jak to ploty powtarza, zamiast zatrzymać takie info dla siebie. Może to nie fair wykorzystać gafę kumpla, by promować samego siebie, ale on z pewnością znajdzie stado dziewczyn na miejsce Klaudii – moje szanse nie przedstawiały się aż tak kolorowo. Musiałem więc grać takimi kartami, jakie dał mi los.

Po powrocie do domu siedziałem przy laptopie i grałem do czasu, gdy matka zawołała mnie na obiad. Musiałem wtedy zejść na dół, wciągnąć żarcie, odpowiedzieć na kilka pytań, zapytać, jak minął ich dzień, i już byłem wolny do końca dnia.

Kiedy wróciłem z powrotem do siebie, czekała na mnie wiadomość od Kajtka. Zaproponował mi wspólne bieganie. Wkurzyłem się, bo potrzebowałem treningu, i gdyby nie to, że przed chwilą wpakowałem w siebie górę jedzenia, z chęcią bym się ruszył. Zgodnie z prawdą odpisałem, że właśnie zjadłem i nie dam rady wysilać się fizycznie z pełnym brzuchem. Poprosiłem, by mówił mi wcześniej o planach, wtedy będę miał szansę się przygotować.

Wróciłem do komputera, ale po chwili telefon znów zawibrował. Sięgnąłem po niego:

Kajtek: *„W domu awantura, każdy drze japę, tylko Klaudia ze słuchawkami na czacie siedzi, więc muszę wyjść, nie dam rady tu siedzieć i słuchać, jak mordy drą”*.

Co ja bym dał, żeby dowiedzieć się, na jakim czacie jest jego siostra. Głowiłem się, jak odpisać, by wyciągnąć od Kajetana choćby adres strony czy nazwę serwisu. Z jego esemesa aż kipiało złością, ale może zdradziłby mi, gdzie szukać jego siostry. Śpiewałbym psalmy pochwalne, gdyby udało mi się chociaż chwilę z nią pogadać. Nawet anonimowo.

*„Pogadaj z Klaudią”* – poradziłem, licząc, że odpisze, żebym to ja z nią porozmawiał. Coś na zasadzie przerzucenia odpowiedzialności na kogoś innego. Coś, co pozwoli mi napisać, że ja z nią pogadam, jeśli on nie chce. Tak, żeby to wyszło od niego i żeby nie wyglądał na żalosego typu, który nawet nie wie, jak zagadać do laski.

Kajtek: *„Ona woli wyrzucać żale obcym ludziom z pierdolonej grupy anime”*.

*„Dałbys mi link?”* – zaryzykowałem, czując, jak serce mi przyspieszyło.

Z jednej strony nie chciałem, by Kajtek wiedział, że mi na niej zależy, ale z drugiej musiałem kuć żelazo póki gorące, więc gdy po chwili mój telefon piknął, podskoczyłem na krześle. Kliknąłem od razu w link. Cieszyłem się, że kumpel nie pytał, po co mi link do jej czata. Szybko założyłem sobie konto. Wpisałem login – pierwszy przyszedł mi do głowy mój nick, którego używałem wszędzie. Sądziłem, że może Klaudia go gdzieś widziała lub słyszała i będzie wiedziała, że to ja. Wpisałem więc moje „TymoTy” w pole loginu i wrzuciło mnie do morza użytkowników. Ponad setka ludzi siedziała na tym durnym czacie, co sprawiło, że mój

entuzjazm lekko osłabł. Dziewięćdziesiąt dziewięć nic nieznaczących dla mnie osób i jedna ona, dla której tu się pojawiłem. Zacząłem zjeżdżać w dół, zastanawiając się, pod jakim nickiem się schowała. Szukałem jej jako Klaudii, ale takiej nie było wśród całej masy ksywek. Potem szukałem czegoś z ich nazwiskiem. Borna, Born, Borne... Nic. Mógłbym napisać do Kajtka z kolejnym pytaniem, ale na bank by mi nie pomógł. Musiałem jednak działać szybko, bo co, jeśli wyjdzie z czata, zanim będę miał okazję z nią pogadać. Wahałem się, co zrobić. Kusilo mnie, by znów zapytać Kajtka o więcej szczegółów. Trzymałem dłoń nad guzikiem „wyślij” gotowej już wiadomości, ale coś mnie blokowało. Tak, jakbym bał się przyznać, że aż tak mi na niej zależy. Gdyby Kajtek był w posiadaniu takiej wiedzy, dokuczałby mi pewnie, robiąc sobie ze mnie jaja. Z drugiej strony szybko by mu się znudziło, a to nabijanie się trwałoby tylko przez jakiś czas, ale potem by się uspokoiło. Zastanawiałem się, czy zdobycie jej loginu jest faktycznie warte tego naśmiewania się. Może zaryzykuję ostatni raz? – pomyślałem, a potem ponownie przesunąłem listę w dół. Trafiłem na nick „Sakura”. Wrzuciłem szybko w Google dwa hasła: „Sakura” i „anime”. Pokazało mi jakąś laskę, więc ucieszony kliknąłem, by zacząć czat, chwając siebie w myślach, jak dobrym byłem słuchaczem i jak sprytnie ją rozgryzłem.

TymoTy: *„Hej, tu Tymek”* – zacząłem niepewnie.

Sakura: *„Co u Ciebie?”*

TymoTy: *„Dla pewności tylko zapytam: masz brata Kajtka, który gra ze mną w piłkę, a Ty nadal chodzisz do liceum? Masz na imię Klaudia i mieszkasz z trójką rodzeństwa?”*

Przez chwilę kropeczki skakały, co oznaczało, że właśnie odpisuje, ale zaraz potem zniknęły. Może się mnie obawiała? Może poczuła się przyciśnięta? W sumie zagadał do niej ktoś obcy, kto wiedział o niej tak dużo.

TymoTy: *„Wiem o kłótni Twoich starych, chciałem po prostu z Tobą pogadać. Rozweselić cię”*.

Przygryzłem wargę. Brzmiałem jak pedofil, jak napalony pedofil, który szukał punktu zaczepienia, by zwabić swoją ofiarę w ciemny kąt i wykorzystać. Na miejscu Klaudii sam wybrałbym Kosmatego. On, owszem, palnął gafę, ale w konwersacjach na żywo czy przez telefon wypadał bardzo dobrze. Zawsze wiedział, co powiedzieć, jak zaczepić dziewczynę. Mnie brakowało pewności siebie. Już miałem ją przeprosić, ale odpisała.

Sakura: *„Dzięki, to miłe z Twojej strony. Jesteś jedyny na tym czacie, który nie prosi mnie o zdjęcia ani nie sugeruje seksu”*.

TymoTy: *„Nie proszę o zdjęcia, bo wiem, jak wyglądasz”* – zażartowałem, ale dla pewności dodałem kilka uśmiechniętych emotek – tak na wszelki wypadek, żeby nie pozostawić wątpliwości, że ten komentarz był tylko żartem.

Bardzo się bałem, jak ona mnie odbierze. Każde słowo wydawało się jakieś obce, jak wciśnięte na siłę. Zastanawiałem się, o co Kosmaty, zapytałby w takiej sytuacji, ale w mojej głowie



zapanowała pustka. Karcielem samego siebie za to durne znęcanie się nad sobą, podczas gdy powinienem działać. Atmosfera wręcz przygniatała, a ja nie wiedziałem, jak to zmienić. Co zrobić? O co zapytać? Podczas gdy ja się głowiłem, kropeczki znów zaczęły swój taniec. Uśmiechnąłem się.

Sakura: „*Jak Ci minął dzień?*”

TymoTy: „*Chciałbym napisać, że świetnie, ale po treningu już nic się nie wydarzyło. Ot, szkoła, lekcje, powrót do domu... A skąd ten nick? Sakura?*”

Sakura: „*To kwitnąca czereśnia*”.

TymoTy: „*Nie wiedziałem*”.

Sakura: „*Dużo o mnie nie wiesz*”.

TymoTy: „*To opowiedz mi o sobie. Co lubisz poza anime, rzecz jasna? Swoją drogą zaskoczyłaś mnie, mówiąc, że to lubisz. Muszę coś obejrzeć lub przeczytać. To się ogląda? Czy czyta?*”

Sakura: „*Lubię być zaskakiwana. Lubię, gdy otaczający mnie świat powoduje, że mam dreszcze na plecach. Lubię też ryzyko*”.

TymoTy: „*W ogóle to do Ciebie nie pasuje... Sądziłem raczej, że powiesz coś o zabawie, śmianiu się i spędzaniu czasu ze znajomymi*”.

Sakura: „*To też... ale... muszę iść... matka mnie woła*”.

## ADRIANNA

Usłyszałam krzyki mężczyzn dobiegające zza drzwi. Sądziłam, że sąsiedzi się o coś kłóca. Okazało się, że przyjechał wóz przeprowadzkowy i zaparkował naprzeciwko nas. W tym domu mieszkała rodzina, którą znałam od wieków, ale zdecydowali się na sprzedaż, mówiąc, że teraz na to najlepszy moment. Nie miałam podstaw, by im nie wierzyć. Zgarnęli więc kasy więcej, niż mieli kredytu, i zniknęli. Początkowo myślałam, że ktoś, kto kupił ich posesję, od razu się wprowadzi, ale dom stał pusty już co najmniej od półtora miesiąca. Aż do dzisiaj.

Patrzyłam teraz, jak dwóch mężczyzn walczy z łóżkiem zawiniętym w stretch. Krzyczeli do siebie nawzajem polecenia, bo z tego, co zrozumiałam, ten na górze nie mógł nadążyć za tym na dole, który według niego ciągnął, zamiast poczekać. Od języka, jakim się posługiwali, wędły mi uszy. Tytu „kurw” nie słyszałam już od lat, choć obserwowałam ich dosłownie przez chwilę. Irytowało mnie wszystko wokół nich – nie tylko słowa, jakie do siebie wypowiadali, ale także to, jak niedbale rzucali meblami. Patrzenie na nich niczego nie zmieniało, a że mnie nadal brzmiała w głowie rozmowa telefoniczna o wazektomii męża, machnęłam na nich ręką. Niech się wprowadzają bez publiczności. Odwróciłam się, ale kątem oka zobaczyłam bardzo otyłą kobietę, która zatrzymała swój stary, zdezelowany i zupełnie niepasujący do okolicy samochód wzdłuż krawężnika. Wysiadając, chwyciła się rączki nad głową i kołysała ciałem, wprawiając je w ruch. Kiedy się dźwignęła i wstała, brzuch opadł jej na uda tak, jakby go wcześniej trzymała na kolanach, a teraz zapomniała o ciężarze i niechcący go upuściła. Mogłabym przysiąc, że ludzie obok słyszeli młaśnieć tłuszczu. Jej masa przykuła moją uwagę do tego stopnia, że wróciłam do okna i uchyliłam firankę. Nie mogłam oderwać od niej wzroku. Spodnie, które nosiła, odstawały jej na biodrach, jakby pod materiałem na tyłku ukryła z każdej strony po balonie. Ledwo się poruszała, a zalane tłuszczem uda wykrzywiły jej stopy. Przeszępowwała z nogi na nogę z ogromnym wysiłkiem. Wyciągnęła z bagażnika wózek inwalidzki. Byłam pewna, że na nim usiądzie, ale podstawiła go pod drzwi pasażera z tyłu. Gdy zobaczyłam, jak walczyła z czymś na tylnej kanapie, zrozumiałam, że tam jest ktoś, kto jest właścicielem wózka, ktoś bardziej niepełnosprawny niż ta kobieta. Zerknęłam na dwóch dryblasów od przeprowadzki, ale oni nie raczyli nawet spojrzeć w kierunku kobiety. Złapałam szybko kurtkę, włożyłam w pośpiechu buty i wybiegłam do niej.

– Proszę zaczekać! – krzyczałam, biegnąc przez ulicę i widząc, że kobieta zdążyła wsunąć swoje wielkie ciało do środka. Miałam wrażenie, że tłuszcz wypełnił całkowicie otwór na drzwi.

Kobieta z trudem wysunęła się z auta i spojrzała na mnie. Kiedy podbiegłam, dostrzegłam krople potu na jej okrągłej, czerwonej od wysiłku twarzy. Pod nosem miała zroszoną od potu skórę, którą właśnie oblizwała językiem. Jakim cudem tak szybko się spociła?

– Ja pani pomogę. Proszę mi tylko powiedzieć jak – zaoferowałam, przerzucając wzrok z niej na wnętrze auta, które szczelnie zakryła swoim ogromnym ciałem.

Przez chwilę patrzyła na mnie, szacując moje możliwości. Miałam wrażenie, że powinnam teraz zapewnić ją o tym, jaka silna jestem i ile mogę udźwignąć, podając masę w setkach kilogramów. Rozumiałam, że nie mogła mi zaufać, ale biorąc pod uwagę, że nie miała nikogo do wyboru, ja wybawiałam ją z potrzasku. Dziwiło mnie, że nadal stała bez ruchu i

lustrowała mnie. Nie dostrzegła, że lepiej jej będzie z moją pomocą niż samej. Już miałam jej wyjaśnić mój tok myślenia, gdy odchrząknęła:

– Niech pani tam wejdzie, od drugiej strony, i popchnie ją za ramiona – poleciła.

Obeszłam dookoła samochodu. Gdy otworzyłam drzwi, ukazało mi się dziecko leżące płasko na tylnej kanapie samochodu. Przez chwilę patrzyłam na nią w dół, nie rozumiejąc, dlaczego ta kobieta w ten sposób przewoziła to dziecko. W zasadzie po dłuższej chwili stwierdziłam, że była to młoda dziewczyna. Niewiele młodsza od mojej Klaudii. Zmyliło mnie jej drobne ciało. Miała na sobie pasy, które przytrzymywały jej kończyny. Machała nimi bez koordynacji. Musiała się mnie przestraszyć, bo zaczęła wydawać z siebie gardłowe odgłosy. Otyła kobieta, najpewniej jej matka, uspokajała ją, głaszcząc jej wyrwywające się od uścisku dłonie. Potem pociągnęła za każdy pasek, upewniając się, że dziewczynka nie wyswobodzi się zbyt szybko.

– Ona nic nie rozumie – wyjaśniła mi, gdy jej córka, nadal leżąc na tylnej kanapie i nadal szarpiąc się z pasami, powoli opadała z sił. – Ma porażenie mózgowe, liczne choroby. Nie chodzi, nie mówi.

– Tak mi przykro – powiedziałam mimowolnie, nie wiedząc, jak się reaguje w takich sytuacjach, co się mówi matce niepełnosprawnego dziecka. Czy się ją pociesza, współczuje jej, czy też może nic się nie mówi, udając, że wszystko jest świetnie.

– Już, już... – Poglaskała córkę po raz ostatni, a potem chwyciła ją za nogi, dając mi sygnał, bym przystąpiła do akcji.

W tym samym czasie popchnęłam jej ramiona. Zaraz potem obserwowałam, jak otyła kobieta walczyła z ciałem wymizerowanej córki. Kontrast między nimi był ogromny. Ramiona matki w porównaniu z ramionami córki wyglądały tak dziwnie. Jak dwie różne rasy człowieka. Miniaturowy i olbrzymi. Zastanawiałam się, jak wyglądało jej ciało pod warstwami tych ubrań. Nie miała nawet kurtki. Zapewne nikt nie szył takich rozmiarów ubrań do sklepów, tylko gdzieś musiało się je zamawiać na specjalne życzenie i na wymiar. Kobieta miała na sobie stary, zmechacony sweter, tak samo jak jej córka. Na tę chudzinę to mogłaby włożyć coś cieplejszego, bo przy takiej niskiej wadze marzła zatrwajająco szybko. Na sam widok dziewczynki przeszły mnie dreszcze.

Po chwili gapienia się na nie ruszyłam, by jej pomóc. Gdy tylko dotknęłam dziewczynki, zaskoczyła mnie jej sztywność. Miałam wrażenie, że kończyny dziecka miały zrosnięte i nieruchome stawy. Bałam się nawet, że naciskając na jej ciało, mogłabym ją połamać. Z trudem posadziłyśmy sztywną jak patyk dziewczynkę na wózku. Kobieta rozpięła pas na klatce piersiowej, przełożyła go przez oparcie wózka i zapięła z powrotem, ale tym razem obejmując jej piersi i oparcie jednocześnie. Zacisnęła go tak mocno, że aż wypuściłam powietrze zaskoczona tym gwałtownym ruchem. To samo zrobiła z paskiem na udach, unieruchamiając w ten sposób córkę na starym, zniszczonym już wózku. Głowa dziewczynki wykrzywiła się na bok. Patrzyła na mnie szeroko otwartymi, ale nieobecnyymi oczami. Kobieta popchnęła jej głowę tak, by oparła się o zagłówek. Bałam się, że zaraz wyciągnie kolejny pasek i przełoży jej przez czoło. Nie zrobiła jednak tego.

– Przepraszam – powiedziałam. – Naprawdę nie wiem, jak się zachować, a bardzo chciałabym pani pomóc. Mam wrażenie, że mówię i robię niewłaściwe rzeczy. – Nie reagowała, więc postanowiłam dodać: – Sama mam czwórkę dzieci.

– My już przywykłyśmy – odpowiedziała nieporuszona, pchając wózek do wejścia.

Zerknęłam na schody, a potem na moje nowe sąsiadki. Kobieta musiała zrozumieć moje myśli, bo westchnęła ciężko. Bez podjazdu będziemy musiały unieść wózek, co razem z ciałem dziewczynki było zdecydowanie ponad nasze możliwości, zwłaszcza biorąc pod uwagę, że kobieta ledwo chodziła. Dla niej samej pokonanie tych schodów stanowiło nie lada wyzwanie. Postanowiłam działać tak szybko, żeby całą niezręczność sytuacji wziąć na siebie. Zatrzymałam więc dryblasów i poprosiłam o pomoc. Kobieta na początku odmawiała, zapewniając, że wciągnie wózek na górę sama, ale potem musiało do niej dotrzeć, ile by to ją kosztowało, bo się zgodziła.

Zanim nawet do nas podeszli, wyjaśniła chłopakom, jak mają unieść jej córkę. Gdzie złapać i jak pokonać schody. Potwierdzili, że zrozumieli, i chwycili wózek. Sądziłam, że kobieta się odsunie, ale co chwilę zachodziła im drogę, łapiąc dziewczynkę a to za rękę, a to za nogę. Dawała też polecenia chłopakom, co z kolei działało im na nerwy, ponieważ oni, mając doświadczenie w dźwiganiu ciężarów, mieli swoje sposoby i nie chcieli słuchać starej baby tylko dlatego, że kazała zrobić im coś inaczej. Choć miałam ochotę na nich krzyknąć, kulturalnie poprosiłam, by posłuchali matki dziewczynki. Rozumiałam ją doskonale – bała się o własne dziecko. Musiała im zaufać w kwestii kogoś najcenniejszego w jej życiu, a przy takiej chorobie każdy uszczerbek na zdrowiu mógł skończyć się tragicznie. Przyłapałam się na tym, że wstrzymałam oddech. Szłam za nimi, rozkładając ręce tak, by w razie czego złapać wózek. W życiu nie byłabym w stanie tego zrobić, ale tak mi się udzielił stres, że włączyłam się do pochodu z takim samym przejęciem jak matka niepełnosprawnej.

Mimo że mnie nie zaprosiła, weszłam do środka gotowa pomagać jej z kolejnymi przeszkodami. Dwóch dryblasów postawiło wózek w korytarzu i przepychając się pomiędzy otyłą kobietą a mną, wyszli na zewnątrz. Ona nachyliła się do córki i szepnęła jej, że już są w domu. Rozczuliło mnie to zapewnienie.

Kiedy chwyciła rączki i pchnęła wózek, ruszyłam za nimi. Byłam w tym domu wiele razy, ale teraz wyglądał jakoś smutniej. Niby większość mebli została, ale czegoś tu brakowało. Chyba życia. Rozglądałam się po pustych ścianach i zastanawiałam się, czy nowe sąsiadki będą zadowolone z domu i okolicy. Fajnie by było, gdyby poznały kogoś w podobnej sytuacji, kto by pomógł im przystosować się do życia w naszym miasteczku. Tyle że w naszej okolicy nikogo takiego nie było.

– Z daleka pani przyjechała? – zagałam, wchodząc za nią do kuchni.

– Tak – odpowiedziała krótko.

Najpierw odsunęła jeden taboret od stołu, a potem zaparkowała w tym miejscu wózek córki. Dziewczyna była do mnie zwrócona lekko bokiem, ale nawet widząc ją z tej perspektywy, mogłam powiedzieć, że się uspokoiła. Obserwowałam je obie na zmianę. Matka wyciągnęła z torebki słoik z dziecięcym jedzeniem, takim, którym karmiłam kiedyś własne dzieci, gdy były w wieku niemowlęcym. Włożyła go do mikrofalówki, a następnie podgrzała. Usiadła na taborecie i przyciągnęła wózek bliżej siebie. Jej pośladki wylały się z każdej strony niewielkiego mebla, co wyglądało tak, jakby siedzisko zostało pochłonięte przez jej ciało. Nie mogłam oprzeć się wrażeniu i zaczęłam szacować możliwości taboretu. Co, jeśli trzaśnie pod nią i kobieta upadnie? Jak potem wstanie? Czy nie robi sobie krzywdy? Czy nie boi się, że jest zbyt ciężka? Usiadła na nim dość pewnie, ale gdybym to była ja, zrobiłabym to bardziej uważnie, testując najpierw wytrzymałość.

– Ja już nie mam siły – zaczęła, mieszając w słoiku. – Córka skończyła osiemnaście lat i dla państwa to już nie jest dziecko, już jest dorosła i nie potrzebuje pomocy. Proszę mi powiedzieć, jaka jest różnica pomiędzy dzieckiem siedemnastoletnim a osiemnastoletnim? Jeden dzień, proszę pani – odpowiedziała za mnie, nie dając mi dojść do głosu. – Tylko tyle. Zabrali nam programy, dofinansowanie. Ja nie mam nic. Nie wiem, jak my będziemy żyły...

Kobieta wzięła plastikową łyżkę, nabrała nią trochę papki i włożyła dziewczynce do ust. Ta, siłując się ze swoim własnym językiem, wypluła papkę od razu na podbródek. Kobieta zebrała to ponownie łyżeczką i znów jej wsadziła do ust. Sytuacja powtórzyła się. Język dziewczynki pracował w ustach tak, jakby był spuchnięty. Za duży i zbyt mięsisty. Samo patrzenie na ten proces sprawiało mi ból. Nie umiałam powiedzieć, czy ona nie była głodna, czy też nie mogła zjeść, bo język jej to uniemożliwiał, ale wyglądało to tak, jakby karmiono ją wbrew jej woli. Przyglądałam się, jak matka ze stoickim spokojem zbierała papkę i wciskała jej w usta, aż w końcu dziewczyna przestała walczyć językiem i przełknęła posiłek.

Ścisnęło mi serce, kiedy na nie patrzyłam. W lot pomyślałam o swoich sprawnych dzieciach. O swoim szczęściu. O tym, jak niewiele brakuje, by życie stało się męczarnią. Patrzyłam na moje nowe sąsiadki i współczułam im. Żadna nie miała życia. Obie stały się męczennicami. Córka przynajmniej nie była świadoma, że cierpiała. Matka za to cierpiała za nie obie, bo pewnie walczyła o przetrwanie każdego dnia. Nagle moje zmartwienia stały się dziecinadą. Fanaberią. Zrobiło mi się głupio na myśl, jak jeszcze nie tak dawno narzekałam na kiepski smak kawy, chłód w domu i męża, który – zajęty karierą – zapomniał o mnie. Zarówno moje dzieci, jak i ja mieliśmy coś tak ważnego jak zdrowie, jak przytomny umysł. Coś, czego brak odebrał tej siedzącej przede mną niewielkiej rodzinie całą radość z życia.

– Myśli pani, że ja nie wiem, jak wyglądam? – kontynuowała kobieta. – Zjadam stres i ból. Samotność. Pojadę do fast foodu, wezmę cztery burgery i wszystkie zjem naraz. To moja jedyna radość w życiu, nazwać się, jak nie powiem co. Takie mam smutne i żałosne życie...

– Naprawdę nie wiem, co powiedzieć – odezwałam się cicho.

– Z wykształcenia jestem lekarzem – oznajmiła tak beznamiętnie, jakby skończenie medycyny nie należało do niesamowitych osiągnięć, a było raczej zwykłym etapem w życiu. – I co z tego? Po co mi była ta szkoła, te lata praktyk, skoro skończyłam w domu, podcierając tyłek, karmiąc papką i wyjąc z bezsilności do ścian. Czuję się gorsza niż śmieć.

– Ja pani pomogę – zaoferowałam od razu, choć nie miałam pojęcia, co mogłabym dla niej zrobić.

– Nie, kochana – posłała mi delikatny uśmiech – nam się nie da pomóc.

– A czego potrzebujecie?

– Wszystkiego – rzuciła, a potem westchnęła ciężko. – Ja nie ukrywałam przed swoją koleżanką, która mnie tu ściągnęła, że z poprzedniego domu wyrzucili nas za niepłacenie rachunków, ale proszę sobie wyobrazić, że ma pani do dyspozycji trzysta złotych. Płaci pani czynsz czy kupuje leki dla córki? Ona potrzebuje leków non stop. Jeden dzień podtrzymania jej życia kosztuje majątek, a z funduszu to wiadomo, jakie jest dofinansowanie.

Zerknęłam na umorusaną papką dziewczynkę, której wykrzywione ciało sprawiało wrażenie, jakby coś ją ciągnęło na boki, jakby jej własne mięśnie swoją sztywnością deformowały jej postać. Samo patrzenie na nią sprawiało ból. Dobrze, że nie miała pojęcia o swoim losie, jak trudno było jej własnej matce utrzymać je obie przy życiu. Gdyby była niepełnosprawna fizycznie, ale przytomna umysłowo, pewnie wyrażałaby złość na system i na

to, jak bardzo muszą na nim polegać. Przecież to nie jej wina, że taka się urodziła. To właśnie takim jak one państwo powinno najbardziej pomagać. Pewnie jak zawsze wykręcało się brakiem funduszy. Pomyślałam od razu o burmistrzu, który wybudował sobie garaż za pieniądze podatników, i zatrzęślam się ze złości.

– Tak się składa, że ja do niedawna pracowałam w urzędzie – zaczęłam, czując po raz pierwszy satysfakcję z dawnego miejsca pracy. – Porozmawiam z burmistrzem. Może uda się coś zrobić. Choćby rampę zbudować tak, żeby mogła pani zabierać córkę na spacer. Bez tego jesteście tu uwięzione. A tak... może pani, przy okazji, też by schudła... spacerując.

Starałam się brzmieć lekko, nie sprawić jej przykrości swoimi słowami, ale nie znałam jej na tyle, by wiedzieć, czy taka uwaga spowoduje u niej reakcję inną niż zmotywowanie jej do działania. Potrzebowała teraz kogoś pozytywnego, kogoś, kto zobaczyłby światełko w tunelu, nawet jeśli dla niej nadal pozostawał on ciemnym, przerażającym miejscem.

Skrobała właśnie ściany słoiczka, by wygrzebać z niego najmniejsze pozostałości jedzenia. Tak, taka osoba miała wyjątkowo trudno i było to widać gołym okiem. U mnie w domu wyrzucało się niedojedzone resztki. Co więcej, nieraz kupiłam coś z myślą o przygotowaniu posiłku później, zapomniałam i wyrzucałam nawet nietknięte, bo się przeterminowało. Tutaj natomiast każdy gram żywności był na wagę złota.

Pomyślałam, że nic w życiu nie dzieje się przypadkiem. Los zsyła na nas to, czego potrzebujemy właśnie w danym momencie. Może teraz chciał mi dać do zrozumienia, że czas, bym pomogła komuś innemu. Obcemu i potrzebującemu. Z dobroci serca, bez czekania na nagrodę. Przez te wszystkie lata pracy w urzędzie pozostawałam obojętna na ludzkie tłumaczenia, prośby i ściemy. Wiedziałam po prostu, że kłamali jak z nut. Wszystko tylko po to, żeby wybronić się od zapłacenia podatku, by dostać zapomogę. Spławiałam ich więc konsekwentnie. Nie miałam z tego powodu wyrzutów sumienia, bo znałam tych ludzi osobiście lub ze słyszenia, ale wiedziałam, jaką naprawdę mieli sytuację. Tak jak tutaj. Tego się po prostu nie da udawać. Jak jest źle, jest źle.

– Mam znajome w MOPS-ie – dodałam szybko. – Możemy też spróbować z PFRON-em. Oni pomagają. Znam przypadek, że komuś odnowili całą łazienkę, bo osoba niepełnosprawna nie mogła się należycie kąpać. Dużo można zdziałać, ale trzeba pisać do urzędów.

– Nie chcę brzmieć pesymistycznie – odpowiedziała, patrząc mi prosto w oczy – ale ja już próbowałam. Pisałam podania, wnioski...

– Ale teraz ma pani dojście do urzędu bezpośrednio – zaświergotałam. – Przeze mnie. Ja będę pilotować każdy pani wniosek, bo widzi pani, ja te kobiety dobrze znam. Wszystkie. Ba. Znam nawet burmistrza i mam z nim dobre układy.

– To miłe z pani strony.

– Mów mi, proszę, po imieniu. Ada. – Wyciągnęłam do niej rękę.

Wytarła dłoń o bluzkę, jakby nie była pewna własnej czystości, co sprawiło, że wzruszyła mnie jeszcze bardziej. Ta jej pokora, to szczere i oddane podejście do innych, podczas gdy życie dało jej tak w kość, czyniły z niej naprawdę wyjątkową kobietę. Podziwiałam ją za to.

– Alina – przedstawiła się i uściśniła mnie lekko. – Jesteś chyba moim aniołem stróżem. Jak już myślałam, że będzie nam tylko gorzej i trudniej, Bóg zesłał mi ciebie. Prawdziwego anioła.

– Zobaczymy, co uda mi się załatwić, a potem będziemy szukać na to nazwy – zbyłam jej miłe słowa.

– Już teraz bardzo ci dziękuję. Nawet za to, że zaoferowałeś pomoc. Nawet jak niczego nie uda się załatwić. Wiesz dlaczego? – Zerknęła na mnie przelotnie, ale szybko spuściła wzrok i nie czekając na odpowiedź, kontynuowała: – Ludzie mają nas gdzieś, odwracają wzrok, udają, że nie widzą, a to właśnie najbardziej boli... ta obojętność. No sama zobacz – wskazała na córkę – dziecko nie jest niczemu winne – westchnęła ciężko, a ja czułam, jak skręcało mnie w środku. – Jestem taka zmęczona, ale to przez to, że z wszystkim jestem sama. Wszystko jest na mojej głowie.

– A ojciec? – Zerknęłam na dziewczynkę, która po zjedzeniu uspokoiła się i powoli odlatywała na drzemkę. Jej głowa opadła na bok.

Faceci, często zajęci swoim życiem, zapominali, że mają dom i obowiązki względem rodziny. Ten przypadek pewnie nie był inny. My mieliśmy zdrowe dzieci, ale jakby trafiło się chore, to pewnie ja zrezygnowałabym z życia i pracy, a Jacka kariera nie zachwiałaby się ani na moment przez to „niepowodzenie” i nadal rozwijałby się, mimo że w domu toczyłaby się walka o przetrwanie.

– Na początku był z nami – wyjaśniła Alina. – Ale po urodzeniu się Gabi skomplikowało nam się życie. Wydawało mi się wtedy, że dam radę pracować w szpitalu tak jak wcześniej, ale opieka nad nią to nie to samo co praca zwykłej niani, która zostaje z dzieckiem, gdy matka idzie do pracy. Ona potrzebowała pielęgniarki. Kilka razy się dusiła, bo ma porażenie mięśniowe i nie do końca umiała jeść prawidłowo – zwłaszcza na początku. Dlatego kobiety, które się nią zajmowały, zrezygnowały lub prosiły o więcej pieniędzy za taką odpowiedzialność. Wierz mi na słowo, że zasługiwały na każdą złotówkę, bo niemowlak – i to chory niemowlak – to ogrom pracy. Duży stres. Nie mogłam im więc odmawiać. Płaciłam, ile chciały, ale efekt był taki, że dokładaliśmy do tego. Moja pensja po prostu nie wystarczała. Nie miałam kiedy jeździć z nią na rehabilitacje, do lekarza na kontrole. Nic. Zasuwałam po dwanaście godzin dziennie, a ktoś obcy siedział mi z dzieckiem i wiadomo, jak się przykładał. Doszłam do wniosku, że moje życie bezpowrotnie się zmieniło po przyjściu Gabi na świat i... rzuciłam pracę. Mężowi się wydawało, że leki, fizjoterapia i inne znaczorki w końcu wyleczą dziecko. Boże, gdzie my z nią nie byliśmy. – Pokręciła głową, jakby sama nie dowierzając w to, co mówiła, a po chwili dodała: – Mąż żył nadzieją przez rok, a im starsza była Gabi, tym bardziej widać było różnicę między nią a resztą dzieci.

– Odszedł – odgadłam.

– Tak. Na początku na nas płacił. Starał się pomóc, ale potem założył drugą rodzinę.

– I zapomniał. – Pokręciłam głową z pogardą.

– Nie – uśmiechnęła się delikatnie. – Urodziło mu się drugie chore dziecko. On niestety ma coś nie tak w genach.

– O matko... – Złapałam się za usta.

– Los jest sprawiedliwy – podsumowała tak, jakby się z tego lekko cieszyła.

Trochę nie pasowało mi to do jej nastawienia, ale gdzieś tam w środku potrafiłam ją zrozumieć. To taki ludzki odruch. Zostawił ją, liczył na inne, lepsze życie, a wpakował się po szyję w dokładnie taką samą sytuację. To tylko potwierdzało, że nie da się obrać łatwej drogi, jeśli los zdecydował inaczej. Nie można oszukać przeznaczenia. Nie uda się uciec przed

odpowiedzialnością, bo prędzej czy później upomni się o swoje. Robiąc coś, a tym bardziej zakładając rodzinę, trzeba być świadomym konsekwencji, a nie wzruszyć ramionami i odejść.

– Ale nie myśl sobie, że się poświęcił – dopowiedziała od razu. – Oddali to dziecko do zakładu. Nie zajmują się nim. Żyją jak bezdzielna para, tylko płacą krocie za utrzymanie sekretu w tajemnicy. Oddali dziecko zaraz po urodzeniu, a znajomym powiedzieli, że zmarło.

– Jezu! – zawyła żałośnie. – Jak tak można? I to jeszcze powiedzieć, że zmarło? Boże drogi, co za znieczulica...

– Widzisz – uniosła brwi – jedni rezygnują z wszystkiego w imię miłości do dziecka, a drudzy z dziecka w imię miłości do samego siebie. W zależności od tego, kogo kochasz bardziej.

– Ale jak można tak podle porzucić własne dziecko? Jak można myśleć o sobie, kiedy ono potrzebuje pomocy? Jak można być takim egoistą? To my, matki, zawsze w pierwszej kolejności myślimy o dzieciach, zapominając często o sobie, a oni... nic. Egoiści! Dawcy nasienia!

– Położę ją. – Kobieta uniknęła dalszej rozmowy, dźwigając się do pionu ociężale i chwytając wózek. – Nie chcę, żeby spała w takiej pozycji. To niewskazane przy jej problemach.

– Pomóc ci jakoś? – Zerwałam się z miejsca gotowa, by pchać wózek czy też ścielić łóżko. Robić cokolwiek, o co by mnie poprosiła. Cokolwiek, co by sprawiło, że jej życie będzie odrobinę łatwiejsze.

– Nie, tutaj już sobie dam radę. Dzięki – uśmiechnęła się lekko, chwyciła rączki wózka i zaczęła nim wykręcać od stołu. – Wybacz, ale nie odprowadzę cię do drzwi. Obowiązki wzywają.

– Oczywiście. Rozumiem. Znajdę drogę sama. Już uciekam.

Idąc do drzwi, musiałam przeciskać się pomiędzy kartonami. Ci dwaj od przeprowadzki wyrzucili wszystko z auta na korytarz i zadowoleni odjechali. Miałam wyrzuty sumienia, że zagadywałam Alinę, zamiast pilnować tych cwaniaków, by wszystko postawili tam, gdzie trzeba. Nikt nic nie mówił, więc porzucili rzeczy za progiem i uciekli. Złapałam się za głowę, widząc ciasne przejście pomiędzy drzwiami a resztą korytarza. Jak ta kobieta z taką masą w ogóle się tutaj przecisnęła? Nie dostanie się ani do drzwi, ani do pudeł stojących najbliżej wyjścia. To nieludzkie. Przecież z dzieckiem, tym bardziej na wózku, który jest taki szeroki, będzie potrzebowała przejścia na już. Co, jeśli coś się stanie albo będzie potrzebowała pomocy? Przecież tego nie można tak zostawić. To zagraża ich bezpieczeństwu. Odwróciłam się i zawołałam ją. Gdyby nie te kartony, raz-dwa bym do niej doszła. Sama musiałam iść bokiem, cały czas po cichu nawołując Alinę. Kiedy wyszła z pokoju, była zła. Bardzo zła.

– Przepraszam, ale masz tyle kartonów i chciałam zaoferować pomoc, żeby to chociaż przepchnąć do pokoju obok albo to kuchni, tak, żebyście miały wyjście...

– Mogę zostać sama? – W jej głosie słyszałam irytację. – Miałam naprawdę trudny dzień.

– Oczywiście! – Staralam się brzmieć radośnie, ale atmosfera zrobiła się ciężka. – Ale zerknij na te kartony... – Obejrzałam się przez ramię. – Ani wózkiem, ani... – urwałam, nie chcąc mówić po raz kolejny o jej wadze.

– To mój problem! Wyjdź, proszę... – poleciała, wracając do pokoju i zamykając za sobą drzwi.



Przełknęłam ciężko, zupełnie się nie spodziewając takiej reakcji. Wydawało mi się, że miałam do czynienia z tak wdzięczną i skromną osobą, a tymczasem pokazała, co o mnie myśli w dość asertywny sposób. Wyszłam od niej, ale dwa razy zatrzymałam się, patrząc na jej dom. Nie sądziłam, że aż tak ją zdenerwuję swoją propozycją. Może źle mnie zrozumiała... z drugiej strony o nic nie prosiła, a ja nie powinnam się narzucać. Każdy słyszał przecież to powiedzenie o piekle wybrukowanym dobrymi chęciami. Czemu mnie to tak ruszyło? Dlaczego czułam potrzebę naprawienia jej życia? Mam przecież swoje, męża, który zataił przede mną zabieg, dzieci, które non stop mnie potrzebowały, no i przede wszystkim obowiązki w domu! Chyba doszczętnie zgłupiałam, że tak bardzo wzięłam sobie tę sytuację do serca. Karciłam samą siebie w myślach za nadgorliwość. Doszłam do wniosku, że, owszem, pomogę jej, ale tylko, gdy mnie poprosi. Już nie będę się narzucać, dociekając, czego jej potrzeba, ani podsuwać pomysłów. Poczekam.

Pokręciłam głową, wyrzucając ją z myśli, i pospiesznie wpadłam do środka z postanowieniem, że teraz zajmę się swoim domem i obowiązkami. Cokolwiek jednak nie zajęło mojej uwagi, nie wystarczało, by nie łączyć tego w jakiś sposób z sąsiadką. Każda czynność czy przedmiot, jaki wpadł mi w ręce, przypominał mi o kobiecie z naprzeciwka. Sięgnęłam po odkurzacz, który kosztował majątek, i zaczęłam się zastanawiać, czy ja faktycznie potrzebowałam tak drogiego sprzętu. Za te pieniądze można by kupić cztery inne, pewnie równie dobre odkurzacze, a resztę wykorzystać na lepszy cel. Przygotowując obiad, kroiłam mięso z obrazem tego nijakiego, a zarazem wyskrobanego z resztek posiłku słoika w głowie. Dobijało mnie to, jaki świat był okrutny i niesprawiedliwy. Przecież gdyby ta kobieta pracowała w zawodzie, miałyby zupełnie inne życie. Zarabiałaby krocie jako lekarz. Tak jak ci w klinice mojego męża. Pacjentów mieli na pęczki, a wynagrodzenie co chwilę negocjowali. Stać ich było na wszystko. Nikt z otoczenia mojego męża nie wiódłby tak przytłaczającej egzystencji, polegającej na walce o przetrwanie każdego dnia.

Zatrzymałam się, by rozejrzeć się dookoła. Doceniałam to, co dostałam od losu, to, jak potoczyło się moje życie. Stwierdziłam też, że za bardzo cisnęłam dzieci i męża, chcąc, by wszyscy byli perfekcyjni. Czyż nie wystarczyło, żeby byli sobą i czuli się szczęśliwi? Poczulałam się tak, jakby ktoś wylał mi kubel zimnej wody na głowę. Nieraz słyszałam: „inni mają gorzej”, ale nigdy tak naprawdę nie widziałam „tego gorzej” na własne oczy.

Pojechałam po dzieci do szkoły w wyśmienitym nastroju. Przygnębienie poszło w niepamięć, a w jego miejsce pojawiły się radość i wdzięczność. Miałam ochotę wyskoczyć i każde z nich ucałować na powitanie. Wiedziałam jednak, że nie przyjąłoby tego zbyt pozytywnie. Każde z nich osiągnęło wiek, w którym czułość względem matki – zwłaszcza w miejscu publicznym – określana była mianem obciachu. Darowałam więc sobie te zapędy i zagadywałam do nich, licząc na jakieś nowości z dnia. Każde z nich, ze zmęczenia, opadło na fotel i tylko pytało, co będzie w domu do jedzenia. Śmiałam się w głos, że nauka tak ich wykańczała. Najbardziej rozbawił mnie jednak Kajtek, który wsiadł do vana i od razu zaczął narzekać na to, że zapomniał pieniędzy i nie kupił sobie niczego w szkolnym sklepiku. Klaudia zaferowała mu kanapki, które odebrała z sekretariatu, a on od razu sięgnął po nie i zaczął jeść mimo zapewnienia, że w domu czekał na nich posiłek.

– A nie dostałeś wiadomości, że podrzuciłam wam jedzenie do sekretariatu? – Zerknęłam w bok, gdzie usiadł i zaczął odpakowywać kanapki.

– Dzień mi się posypał i nie miałem szans, żeby skoczyć do liceum. Nie mogłaś moich u mnie zostawić?

– Przecież nie chciałaś! – upomniałam go, a potem przypomniałam sobie o Alinie, o Gabi i o tym, że to nie jest warte sprzeczeki. O tym, jak łatwo traciłam cierpliwość mimo obietnicy pracy nad sobą. Wzięłam więc oddech, wyrzucając z siebie irytację. – Bałam się, że się spóźnię do pracy. Nie miałam jak. Gdybym mogła, tobym podjechała. Przecież wiesz.

– Spoko – rzucił, wgrzyzając się w chleb. – Zjem i tu, i w domu – dokończył z pełnymi ustami.

Gdy tylko weszliśmy do środka, pobiegłam do kuchni, a cała czwórka zajęła miejsce przy stole. Nałożyłam im i usiadłam z boku, obserwując, jak pochłaniali posiłek. Patrzyłam na nich z dumą i miłością. To chyba wszystko przez wizytę u Aliny, ale dzisiaj wyjątkowo pozostałam widzem, który bardziej potrzebował widoku czyjejś radości niż faktycznie uczestniczenia w niej. Każda matka zrozumie to uczucie szczęścia i spełnienia, jakie wywołują jej dzieci, które się nie kłócą przy stole, które rozmawiają, śmiejąc się przy tym w najlepsze. Cała czwórka razem w tak sielskim momencie – mimo różnicy wieku, mimo różnicy charakterów i poglądów. Śmiałam się z ich żartów i z czasem dopowiadałam coś od siebie, ciesząc się jak nigdy z naszej rodziny. Pomyślałam nawet o tej sytuacji w samochodzie. Czy gdyby doszło do kłótni między mną a Kajetanem, to czy potem wyżywałby się na młodszym rodzeństwie? Pewnie chciałby jakoś odreagować, wyrzucić z siebie negatywne emocje, co bez wątpienia wpłynęłoby na atmosferę w domu. Jeśli ja sama potrafię zreflektować się na czas, by nie dopuścić do kłótni, może będę w stanie zadbać o to, żeby udzieliło się to dzieciom, żeby potrafiły się w porę zatrzymać, swoją irytację i złość, by móc potem spędzać czas w taki sam sposób jak przed chwilą. Może powinnam zacząć zmiany od siebie?

Zostałam w kuchni sama. Posprzątałam po dzieciach i czekałam na powrót męża z pracy. Wyobrażałam sobie, że zjemy, usiadziemy i porozmawiamy – lekko i z otwartymi głowami. Nawet wino wyciągnęłam, by zadbać o atmosferę. Chciałam do niego dotrzeć. Zapytać o powód, dla którego zachował w tajemnicy ten nieszczęsny zabieg. Obiecowałam sobie, że nie stracę nad sobą panowania i w spokojny sposób poprowadzę dyskusję. Nadaremnie.

– A ty co? – zaczępił w typowy dla siebie sposób, wchodząc do kuchni, gdzie czekałam na niego, siedząc przy stole ze świeczkami. – Jakieś wieści masz?

– Nie, po prostu chciałam pogadać. – Odłożyłam na bok książkę, którą jeszcze chwilę temu czytałam.

Nawet gdy usłyszałam odgłos jego wejścia do domu, nie ruszyłam się z miejsca i nie przerwałam zajęcia. Po prostu czekałam. Bez pośpiechu, bez parcia, ale z nadzieją na miły wieczór. Wtedy jeszcze wierzyłam, że uda nam się dogadać.

– O czym? Nigdy nie witasz mnie w ten sposób, więc musiało się coś stać. Coś w pracy?

– Usiądź – poleciłam. Wstałam od stolika i sięgnęłam po talerz, by nałożyć mu obiad.

Schyliłam się do piekarnika, żeby wyciągnąć jedzenie. Jednocześnie nakładałam mu posiłek i zastanawiałam się, czy zacząć naszą rozmowę od wazektomii, czy jednak szybko przekazać mu informację o zwolnieniu. Znałam go jednak na tyle, by wiedzieć, że jeśli zacznę od wazektomii, potem będzie się czepiał, że na niego naskoczyłam, żeby odciągnąć jego uwagę od siebie i od zwolnienia. Doszłam do wniosku, że jeżeli przyznam się do czegoś, co wydarzyło

się w moim życiu, a co było dla mnie trudne, dam mu dobry przykład, a wtedy on odpuści i nie będzie szukał drugiego dna w tej rozmowie. Otworzy się przede mną i dzięki temu załatwimy to jak dorośli, rozumni partnerzy. Pochwaliłam siebie za takie rozwiązanie, bo stwierdziłam, że to dużo ułatwi, a potem przejdziemy do omawiania meritum.

– Zwolnili mnie – przyznałam się, stawiając mu talerz z pieczenią pod nosem, a potem zerknęłam na niego, by wyczytać z jego spojrzenia, jak odebrał tę wiadomość.

– Za to, że nie potrafisz być miła dla petentów? – zapytał z przekąsem, a ja w sekundę poczułam ogarniającą mnie złość.

Jednym głupim pytaniem zaburzył moje opanowanie, ale po raz kolejny obiecałam sobie, że nie dam się sprowokować i zachowam spokój. Dam dobry przykład. Wystarczy, jeśli wezmę głęboki oddech i – tak jak z Kajetanem – odpowiem szczerze, bez ładunku emocjonalnego innego niż pozytywne uczucia.

– Nie, zredukował etaty, mówiąc, że komputery teraz wykonują moją pracę.

– Musiał to jakoś nazwać, bo przecież nie powie ci wprost.

– Nie – wyartykułowałam to słowo bardziej stanowczo. – Odbyłam z nim szczerą rozmowę, kiedy mnie zwalniał, i wiem, jaki jest powód – upierałam się przy swoim, nadal spokojnie. – Pracowałam tam tyle lat i z czystym sumieniem mogę powiedzieć, że pracy mi z każdym rokiem ubywało.

– Ubywało? – podchwycił z uśmiechem na ustach. – I dlatego zatrudnił tę młodą.

To zdanie sprawiło, że chciałam walnąć go w łeb. On mnie nigdy nie słuchał i na dodatek uciekał się do uszczypliwych komentarzy, jakby świadomie chciał mi sprawić przykrość. Czy wspierający i oddany partner życiowy powinien wytykać zatrudnienie młodej kobiety w momencie, gdy żona dzieli się z nim wiadomością o zwolnieniu? Na dodatek uśmiechając się przy tym, jakby to, co powiedział, faktycznie było zabawne.

– Młoda jest na praktykach. Za darmo. Z urzędu pracy. Przecież ci mówiłam. – Złość już we mnie kipiała, ale zajęłam miejsce obok niego, nadal gotowa na dialog.

– I wykazała się, a ciebie odstawili. Zobaczysz, że dostanie etat. Wywalili ciebie, żeby zrobić miejsce dla niej. Jak nic ona zaskarbiła sobie sympatię ludzi, na którą ty przez te wszystkie lata spędzone w urzędzie sobie nie zapracowałaś.

– Jedz – poleciłam mu oschle.

Wstałam. Zaczęłam nerwowo przecierać blaty. Potrzebowałam zajęcia. Czegoś, co by mnie uspokoiło. Wmawiałam sobie, że zaraz ochłonę i wrócę do rozmowy. Nie tak to sobie wyobrażałam, gdy kroiliśmy mięso na obiad, gdy zapalałam świece, gdy patrzyłam na nasze szczęśliwe dzieci. On nie zauważał moich wysiłków, tego, co dla niego robiłam, tego, jak wyglądało moje życie, jak dużo energii kosztowała mnie ta praca. Tego, jak bardzo potrzebowałam, by mnie teraz wspierał. W zamian dostałam ironię prosto w twarz. Ranił mnie swoimi słowami i nawet tego nie dostrzegał. Z apetytem jadł pieczeń, jakby wcale mi nie dokuczył. Robił sobie żarty z tak poważnego tematu, dając mi w ten sposób do zrozumienia, że nie traktował mnie z należyтым szacunkiem. Miał gdzieś moje uczucia, zwolnienie czy moje potrzeby. Nie rozumiałam, co się zmieniło w naszym małżeństwie, że stał się względem mnie taki obojętny – przestał dbać o to, co myślę, a przede wszystkim o to, co czuję.

– Prawda w oczy kole, co? – zapytał z pełnymi ustami, powodując ból gdzieś nisko w moim brzuchu, jakby mnie faktycznie uderzył.